

Tow. Przyjaciół nauk w Przemysłu.

5362 | D

11753.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

Własność publiczna!

proszę się nie niszczyć i nie niszczyć.

Brioux

WYKOLEJENI

Sztuka w 3-eh aktach

łómaczył z oryginału

Zygmunt Morawski

Biblioteka Uniwersytetu ludowego
im. A. Mickiewicza w Przemyślu.

~~L. 1102~~ 153

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1904

1102

A-19288



1000173346

Варшава, 27 Апрелья 1904 года.

literat. 13d

BIBLIOTEKA

UMCOW

LUBLIN

K. 1160 | 56 | 3840

Własność publiczna!

nie niszczyć.

OSOBY:

LEKARZ	MAŁŻONKA
CHORY	MATKA
TEŚĆ	MAMKA
OJCIEC	DZIEWKA
UCZEŃ	ROBOTNICA

SŁUŻĄCA.

Akt I.

Pokój lekarza.

Scena ułożona jest pod kątem do widza.

Po prawej stronie wielki witraż, przedstawiający scenę treści religijnej, wypełniający niemal całe okno.

Na przodzie na kolumnach brązy i marmury.

Równoległe — długie i szerokie biurko w stylu Ludwika XIV, zasypane papierami. Mnóstwo na niem posążków. Między witrażem a biurkiem fotel lekarza.

Po drugiej stronie znowu fotel; na samym przodzie taburet.

Na pierwszym planie — z lewej strony drzwi otwarte na oścież, przez które widzieć można galerję ozdobioną posągami, obrazami i tkani-

nami. Trochę dalej wielka szafa biblioteczna o oddrzwiach szklanych. Nad nią portrety Wallace'a, Dupuytsena i Ricorda. Popiersia sławnych lekarzy.

Mały stolik i dwa krzesła.

W głębi drzwiczki.

Cały ten pokój jest urządzone kosztownie i dosłownie zapchany dziełami sztuki.

SCENA I.

REŻYSER.

Panowie i panie!

Autor i dyrektor mają zaszczyt uprzedzić Was, że sztuka niniejsza poświęcona jest badaniom przymiotu odnośnie do jego roli i znaczenia wobec małżeństwa.

Nie zawiera ona żadnych szczegółów skandalicznych, nie przedstawia żadnych scen wstrętnych, niema w niej słów sprośnych: — słuchać jej może każdy człowiek o ile wychodzi z założenia, że kobiety nie potrzebują koniecznie być głupcami i nieświadomymi, by być cnotliwymi.

(Zasłona).

L

SCENA II.

LEKARZ, CHORY.

Zasłona podnosi się wnet. Jerzy, 26-letni młodzieniec, bardzo zmieszany i zdenerwowany wchodzi małemi drzwiami w głębi, zbliża się ku przodowi sceny, bierze laskę, kapelusz i rękawiczki, które leżały na stołku, poczem siada na fotelu naprzeciw biurka. Wzdycha ciężko.

Lekarz lat czterdziestu, tęgi, z wyglądem człowieka niepospolitego, odziany w czarny surdut z wstążeczką czerwoną legji honorowej, wchodzi w chwilę później i siada na swoim miejscu.

CHORY (*oczy okrągłe, ale nie śmieszny*). A zatem, panie doktorze?

LEKARZ. A zatem, panie, niema najmniejszej wątpliwości.

CHORY (*ocierając chustką czoło*). Niema żadnych wątpliwości... W jakim znaczeniu?

LEKARZ. W złem... (*pisze; Jerzy blednie, milczy przerażony, potem wzdycha znowu*). Domyślał się pan tego... chyba. Któż widział...

CHORY. Nie, panie...

LEKARZ. Jednakowoż...

CHORY. Mój Boże!... (*jest osłupiały*).

LEKARZ (*który skończył pisanie i widzi stan Jerzego*). Niech się pan nie trwoży. Na siedmiu ludzi, których pan spotyka na ulicy, w świecie, w teatrze—przynajmniej jeden znajduje się w tem samym, co pan położeniu: — jeden na siedmiu, piętnastu na stu...

CHORY (*bez wybuchu, jak gdyby mówił do siebie*). Ja, ja już wiem co uczynię.

LEKARZ. I ja również. Oto przepisy. Zanieście je pan do aptekarza i poleci je wykonać.

CHORY (*odbierając papier*). Nie, panie...

LEKARZ. Tak, panie; uczyni pan tak, jak czynią wszyscy.

CHORY. Nie. Bo nie jestem w takim położeniu, jak wszyscy inni. Jestem w innem położeniu. Wiem, co uczynię. (*ruch ku skroni*).

LEKARZ. Ruch ten widuję u pięciu ludzi na dziesięciu, którzy podobnie jak pan na tym fotelu siadają. I to bardzo

szczerze... każdy myśli, że jest nieszczęśliwszy od wszystkich innych...

Dopiero namyśliwszy się i usłuchawszy mnie, pojmują, że choroba ta jest towarzyszką, z którą żyć można; jak w każdym pożyciu domowem, zgoda zależy od wzajemnych ustępstw... Nic więcej... No, no, panie, powtarzam panu, że to sprawa zupełnie pospolita, zupełnie naturalna, zupełnie zwyczajna... To wypadek, który każdemu przytrafić się może. Pod obrazowem uosobieniem tej choroby, niesłusznie francuską zwanej, bo jest ona najpowszechniejszą ze wszystkich— możnaby napisać, zwracając się do fachowców sprzedajnej miłości, ów wiersz słynny: «Oto twój pan, jest nim, był, lub być musi!»

CHORY (*włożył receptę do zewnętrznej kieszeni ubrania*). Ale ja, panie, ja powinienem był być oszczędzonym!

LEKARZ. Dlaczego? Dlatego że należysz pan do sfer uprzywilejowanych, do towarzysztwa? Dlatego, że pan jesteś bogaty? Niech się pan rozejrzy dokoła. Widzi pan te dzieła sztuki, wśród których jest niestety! aż pięć odtworzeń «Merkurego»

Jana z Bolonji, sześć Pigalle'ów i trzy reprodukcje woskowe nieodnalezionnej rzeźby Paccini'ego «Miłość zraniona» Czyż pan myśli, że te wszystkie przedmioty dostałem od przydrożnych włóczęgów?

CHORY (z jękiem). Ale ja nie jestem hulaką, panie doktorze!... Młodość moja mogłaby być przykładem dla całej młodzieży... Niema drugiego człowieka... pojmuje pan... niema nikogo, ktoby się był... bawił... z większą od mojej ostrożnością. A gdybym wreszcie panu powiedział, że w całym życiu mojem miałem tylko dwie kochanki, cóżby mi pan na to odpowiedział?

LEKARZ. Odpowiedziałbym panu, że już jedna byłaby wystarczyła, by tu pana do mnie przyprowadzić.

CHORY. Nie, panie doktorze, żadna, żadna z tych dwóch. Mówię panu: nikt, nikt na świecie nie obawiał się więcej odemnie tego, co mi się przytrafiło. Nikt dla uniknięcia tego, tyle co ja, nie uczynił, nikt nie urządził swego życia z taką troską, z taką ostrożnością drobiazgową i z taką rozwagą. Pierwszą mą kochan-

ką była żona mego najlepszego przyjaciela; dla niego—ją—wybrałem; a jego nie dla tego, że mi był najdroższym, ale ponieważ wiedziałem, że jest surowych obyczajów, czysty, zazdrosny o swą żonę, strzegący jej i nie pozwalający jej na nowe, zawsze niebezpieczne, znajomości. Ją samą uświadomiłem, połem ją strachem przed tą chorobą, a mówiąc, że prawie wszyscy mężczyźni są nią dotknięci, broniłem jej nawet przed myślą zdradzenia mnie. Biedny mój przyjaciel umarł na mych ramionach — ten wypadek jedynie mógł mnie z nią rozłączyć... Potem wziąłem sobie młodą robotnicę...

LEKARZ. Czyż pan już nie miał przyjaciół dość pewnych pod względem ich obyczajów?

CHORY. Nie, panie doktorze... Pan sam wie, jakie są dziś obyczaje.

LEKARZ. Lepiej niż ktokolwiek.

CHORY. Wziąłem sobie tedy młodą, uczciwą robotnicę. Była obarczona rodziną i w ciężkiej potrzebie. Babka kaleka, ojciec chorowity, trzech małych braciszków... Ja tych wszystkich ludzi żywiłem. Uwielbiali mnie, zwali mnie wu-

jem Raulem,—nie byłem dość szczery, by im prawdziwe imię moje wyjawić... co?

LEKARZ. Oh!... imię... ostatecznie... zawsze to ostrożniej...

CHORY. Zapewne! — Przestrzegłem ją i zawiadomiłem rodziców jej, że jeśli mnie zdradzi, opuszczę ją natychmiast. Więc wszyscy, wie pan, pilnowali jej. Wszystkie niedziele spędzałem wśród rodziny. Taką mamy tradycję. Z tego powodu nawróciłem moją małą przyjaciółkę na religję: msza, nieszpory: to były dla niej uczciwe powody wyjścia z domu. Do kościoła towarzyszyła jej matka, gdyż najałem im dwa krzesła na cały rok, a one były bardzo dumne, widząc swe imiona wyryte na miedzianej tabliczce. ...Nigdy nie wychodziła sama. Opuściłem ją przed trzema miesiącami, gdy powstał zamiar ożenienia mnie. Wszyscy płakali. Nie zmyślam i nie przesadzam wcale. Widzi pan, że nie jestem złym człowiekiem. Gdziekolwiek przyjdę, żal za sobą zostawiam...

LEKARZ. Był pan tak szczęśliwy. Cóż pan miał za pomysł, by zmieniać położenie?

CHORY (*zdziwiony zapytaniem*). By sobie stworzyć stanowisko. Ojciec mój był notarjuszem i przed śmiercią wyraził życzenie, bym się ożenił z kuzynką, za której posag kupię sobie kancelarję;—doskonała partja, panie doktorze, cudna dziewczyna, którą uwielbiam—niech pan zauważy, że ją uwielbiam — i, dodać też mogę, jestem przez nią kochany. Miałem wszystko, czego było potrzeba, by żyć w szczęśliwym spokoju — (*Rozczulając się nad samym sobą*). Wszyscy moi znajomi, panie, zazdrościli mi. I trzeba było, aby kilku głupich kolegów zaciągnęło mnie po obiedzie, na którym żegnaliśmy moje kawalerskie czasy... I oto do czego doszedłem!!... Nie, nie mam szczęścia, nigdy szczęścia nie miałem! Znam takich, którzy wiedą życie rozpustne:—nic im się nigdy nie stanie złego, tym bydlętom!—A ja, ja przez taki jeden nieszczęśliwy wybryk zniszczyłem mą przyszłość, zatrąłem mój byt... Co się ze mną stanie?—Wszyscy odemnie uciekać będą; jestem parjasem, zadżumionym... cóż?... Czy nie lepiej bym zginął? Przy najmniej cierpieć nie będę! Widzi pan

przecież, że niema nieszczęśliwszego człowieka odemnie!... (*płacze*) Nie, niema, niema, powiadam panu, że niema! (*zakrywa twarz chustką*). O, oooooo....!

LEKARZ (*wstaje i podchodzi do Jerzego, uśmiejając się*). Trzeba być mężczyzną, a nie płakać jak dziecko!

CHORY (*ciągle płacząc*). Ależ, panie doktorze, gdybym był hulał, gdybym był czas tracił po piwiarniach z kokotami — tobym rozumiał! powiedziałbym sobie, masz — na coś zasłużył!

LEKARZ. Nie.

CHORY. Jakto, nie?

LEKARZ. Nie. Nie powiedziałby pan tego. A zresztą mniejsza o to. Proszę mówić dalej.

CHORY. Owszem, ja to dobrze czuję. Jestem uczciwym człowiekiem, powiedziałbym, że na to zasłużyłem. Ale nie, nic z tego się nie stało. Odmawiałem sobie wszelkich przyjemności. Opierałem się hulankom jak pokusom. Odmawiałem przyjaciołom, którzy mnie chcieli ciągnąć do zabaw, to też w mojej dzielnicy matki palcem na mnie synom swoim wskazywały. Dumny byłem z tego! Pra-

cowalem, mozolilem sie, uporządkowalem zycie moje nawet w rzeczach... nieporządnym, a obie przyjaciółki moje pomagały mi w przygotowaniach do egzaminów. Nauczyłem je, jak mają mnie do pracy zachęcać i dzięki im zostałem doktorem praw. Czy pan myśli, że nie byłbym stokroć wolał powracać do domu o czwartej rano, z kołnierzem podniesionym, paląc cygaro zapalone u wielkiej damy z półświatka — albo nawet u małej?... Ja także tak jak inni czułem w sobie powołanie ku wargom zbyt czerwonym, ku brwiom zbyt czarnym, ku twarzyczkom zbyt bladym. I ja byłbym lubił przygody, orgje, szampana, halki koronkowe i rzeźbione łóżka! Wszystko to poświęciłem dla mego zdrowia — i oto com osiągnął!! Oh! gdybym był wiedział, gdybym był wiedział!!... Gdybym był wiedział, byłbym był łajdakiem, tak łajdakiem! Przynajmniej to byłbym zyskał!... Kiedy pomyślę!... Kiedy pomyślę, na jaki wstyd jestem skazany, na jakie męki wstrętne, na jakie straszliwe katastrofy!...

LEKARZ. Cóż mi pan tu za bajki wyśpiewuje?

CHORY. O tak, tak... ja wiem!... Włosy wypadają, zamiast koktajlu rumianek, wózek, w którym obwożą mnie po trotuarze niby automobil, z przodu dyszel, którym będę kierował, a z tyłu fagas pchać będzie, niby maszynista kręcący korbę przed zapaleniem benzyny. I będę mówił tylko ga, ga... ga... ga... *(płacze)* Oto co zostanie z pięknego Raula..., bo ja byłem pięknym Raulem!...

LEKARZ. Mój panie kochany, teraz pan po raz ostatni otrze łzy i nos, potem pan włoży chustkę do kieszeni i wreszcie posłucha mnie pan na sucho.

CHORY *(postuszenie)*. Tak, doktorze, ale uprzedzam, że pan czas swój traci na próżno.

LEKARZ. Oświadczam panu...

CHORY. Wiem, co mi pan powie.

LEKARZ. W takim razie, nie masz tu pan już nic do roboty... Proszę sobie iść!

CHORY. Skoro tu już jestem, słucham pana. Pan jest dobry, bardzo dobry.

LEKARZ. Jeśli pan posiadać będzie dość

woli i wytrwałości, to nie wydarzy się panu nic z tego, co pan przewiduje.

CHORY. Oczywiście. Jest to pańskim obowiązkiem tak do mnie mówić.

LEKARZ. Powtarzam panu, że ludzi takich jak pan jest w Paryżu sto tysięcy — a są zdrowi i rzeźcy. Odwołuję się do pana samego... Cóż u licha!... Tych wózków znowu tyle nie widuje się!...

CHORY. Tak, to prawda.

LEKARZ. A zresztą nie wszyscy ci co w nich siedzą, mają do tego ten powód, o którym pan myśli. I pan podobnie jak sto tysięcy współbraci nie padnie ofiarą katastrofy. Choroba jest poważna, nic ponad to.

CHORY. A więc widzi pan, że to poważna choroba!

LEKARZ. Tak.

CHORY. Jedna z najpoważniejszych.

LEKARZ. Tak, ale pan ma szczęście...

CHORY. Szczęście?...

LEKARZ. ...Względne, jeśli pan chce — ale ma pan szczęście, że pana dotknęła jedna z tych chorób ciężkich, przeciw której posiadamy środki zaradcze najenergiczniejsze i najpewniejsze.

CHORY. Tak... tak... środki zaradcze gorsze od choroby samej.

LEKARZ. Myli się pan.

CHORY. Nie każe mi pan chyba wierzyć, że można wyleczyć się.

LEKARZ. Owszem, można.

CHORY ...I nie jestem skazany na...

LEKARZ. Przysięgam panu.

CHORY. Pan się nie myli... pan mnie nie zwodzi?... Powiedziano mi...

LEKARZ (*wzruszając ramionami*). Powiedziano panu... powiedziano!... Założyłbym się, że pan zna prawodawstwo dotyczące murów pogranicznych u Chińczyków.

CHORY. Naturalnie! Ale nie mogę pojąć, co to ma wspólnego?...

LEKARZ. Zamiast pana tego uczyć, lepiej by uczyniono powiadamiając go o istocie choroby, na którą pan zapadł... Możeby pan wówczas potrafiłby ustrzedz się jej.

CHORY. Oh, panie doktorze! Któżby był mógł tego się spodziewać, po kobiecie tak wykwintnej!... Bo chyba pan nie przypuszcza, że ją wziął z ulicy... Mie-

szka na ulicy de Berne... w wytwornej dzielnicy.

LEKARZ. Dzielnica nie gra tu żadnej roli. Choroba ta tem się różni od innych, że nie rozróżnia nikogo wśród swych ofiar...

CHORY. Ależ, panie doktorze,—to była kobieta... prawie uczciwa! Przyjaciółka kochanki jednego z mych kolegów. Jest mężatką, mieszka z matką, która chwilo-wo była w podróży... Nie chciała mnie słuchać: błagałem ją przez pół godziny. Aby ją nakłonić, musiałem obiecać jej taki sam pierścionek, jaki posiada jej przyjaciółka i... ona kazała mi zdjąć trzewiki, gdym wchodził po schodach... aby stróż domu nie myślał źle o niej.

LEKARZ. Otóż, gdyby pana pouczono, wiedziałby pan, że takie okoliczności nie są jeszcze wystarczającą poręką.

CHORY. Ma pan słuszność, panie doktorze,—doprawdy rzucono nas na łup zbyt wielkiej nieświadomości...

LEKARZ. Tak, zbyt wielkiej...

CHORY. Nie można jednak tego ogłaszać po dziennikach.

LEKARZ. Dlaczego?...

CHORY. Mówię to panu z rozwagą. Mój ojciec był właścicielem małego prowincjonalnego dziennika. Gdybyśmy byli choć raz wydrukowali to słowo... deszczem odpadaliby nam abonenci!

LEKARZ. Ale drukowaliście państwo powieści na tle cudzołóstwa.

CHORY. Cóż robić! Prenumerator to lubi!

LEKARZ. Masz pan słuszność, przede wszystkim trzeba wychować publiczność.

CHORY. Cóż byśmy wreszcie zyskali na takim pouczeniu nas o tej chorobie?

LEKARZ. Znając ją lepiej, łatwiej byłoby jej uniknąć.

CHORY. Trzebaby przede wszystkim znaleźć środek na zupełne uniknięcie jej!

LEKARZ. Oh! to bardzo proste!

CHORY. Niech go pan wyjawi.

LEKARZ. Niema on już dziś znaczenia dla pana... Ale może go pan wskazać synowi, gdy pan ojcem zostanie.

CHORY. Jakiż to środek?

LEKARZ. ...Trzeba kochać tylko jedną kobietę... wziąć ją dziewicą i kochać ją dostatecznie, by nas nie zdradzała...

CHORY. Jakie to wygodne!... Ale jeśli mój syn ożeni się dopiero w 28-ym roku życia... Co wówczas?

LEKARZ. Wówczas, pragnąc go ostrzedz o ile możliwości przed owym ryzykiem, każe mu pan szukać tych kobiet, które sprzedają miłość opatentowaną...

CHORY. Z poręką rządu...

LEKARZ. I wybierać pośród starszych.

CHORY. Dlaczego?...

LEKARZ. Bo doszedłszy do pewnego wieku, wszystkie one już swój haracz spłaciły. I najpiękniejsza dziewczyna dać może tylko to, co posiada, a nie to, czego już nie ma. Oto, co pan powie swemu synowi.

CHORY. Więc ja będę mógł mieć dzieci?

LEKARZ. Zapewne.

CHORY. Zdrowe?

LEKARZ. Zdrowe. Powtarzam panu. Jeśli pan leczyć się będzie jak potrzeba, powoli, sumiennie — nie będzie pan miał wielkich powodów do obaw.

CHORY. Jest że to pewnikiem?

LEKARZ. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto.

CHORY. Więc będę mógł ożenić się.

LEKARZ. Będzie pan mógł.

CHORY. Pan mnie nie zwodzi, nieprawdaż?... Nie dawałby mi pan tej otuchy... Nie narażałby... Kiedy będę mógł się ożenić?

LEKARZ. Za trzy lub cztery lata.

CHORY. Jakto?! Za trzy lub cztery lata?... Nie wcześniej?

LEKARZ. Nie wcześniej!

CHORY. Dlaczego? Więc będę chorował przez ten cały przeciąg czasu? Mówił mi pan przed chwilą...

LEKARZ. Choroba nie będzie już niebezpieczną dla pana, ale pan będzie niebezpieczny dla drugich.

CHORY. Ależ doktorze, ja się żenię już za miesiąc.

LEKARZ. To jest niemożliwe!

CHORY. Nie mogę uczynić inaczej. Kontrakt ślubny jest przygotowany, zapowiedzi ogłoszone... Dałem słowo...

LEKARZ. Otóż to są pacjenci! Przed chwilą szukał pan rewolweru, — teraz chce pan żenić się za miesiąc.

CHORY. Bo to jest konieczne.

LEKARZ. Zakazuję panu.

CHORY. To znów nie jest tak poważne.

Skoro choroba ta nie jest tem, co sobie wyobrażałem i skoro można wyleczyć się—nie będę popełniał samobójstwa. A skoro go nie popełniam, żyję w dalszym ciągu. Dotrzymuję mych zobowiązań: żenię się.

LEKARZ. Nie, żadną miarą!

CHORY. Owszem. Rozwianie tego małżeństwa byłoby dla mnie klęską. Pan tak mówi, bo pan o niczem nie wie. Mnie na ożenieniu się nie zależało. Miałem przecież niby drugą rodzinę; opowiedziałem to już panu: dzieci mnie ubóstwiały... Dopiero ciotka moja, stara panna, pełna przywiązania do mnie, popchnęła mnie w tę stronę. Moja matka zachwycona jest tym projektem: niczego więcej nie pragnie, jeno kołysać wnuków. Chce mnie widzieć na stanowisku, jak mówi... Odkąd zaczęła być mowa o tem małżeństwie, plan ten stał się dla niej środowiskiem jej myśli i dwadzieścia razy na dzień pyta samej siebie, czy pożyje dość długo, by dożyć ziszczenia swych snów. Ale nie koniec na tem. I ja począłem ubóstwiać moją narzeczoną. Gdybym teraz się cofnął, matka moja umarłaby ze

zgryzoty, a ciotka wydziedziczyłaby mnie. Ona jest najbogatszą osobą w rodzinie. Ale pomijam to. A mój teść? Mój teść to człowiek zasad, surowych zasad, przytem gwałtowny. On nie żartuje z rzeczy poważnych i taka sprawa mogłaby mnie drogo kosztować, bardzo drogo... najdrożej... Niech pan jeszcze doda, że on uwielbia swą córkę. Zapytałby mnie o powody... nie wiem, co by się działo... A zatem chodzi tu o zdrowie mojej matki, o spadek po ciotce, o moją przyszłość, o moją cześć, a może i o życie moje! Wreszcie powiedziałem panu: dałem słowo.

LEKARZ. To je pan odbierze.

CHORY. Zależy panu na tem? Ależ nawet gdybyśmy przyjęli tę możliwość — nie potrafiłbym cofnąć mego podpisu umieszczonego na akcie, którym się zobowiązałem zapłacić za dwa miesiące należność za kancelarję notarialną, którą nabyłem.

LEKARZ. Proszę pana, wszystkie te...

CHORY. Nie może pan mi zarzucić braku roztropności, skoro rozporządziłem

się posagiem dopiero na czas po za miodowym miesiącem.

LEKARZ. Proszę pana. Wszystkie te względy są mi obce. Jestem lekarzem i to tylko lekarzem. Dlatego mogę panu oświadczyć tylko co następuje: Jeśli pan się ożeni wcześniej niż za trzy lub za cztery lata, będziesz pan zbrodniarzem!

CHORY. Nie panie, pan nietylko jest lekarzem, ale i spowiednikiem. Pan nie tylko jest mędrce i pan nie może poprzestać na zbadaniu mnie, jak jakiegoś martwego przedmiotu w swej pracowni i powiedzeniu mi: «Tego panu brakuje, owo mówi nauka, wynoś się pan teraz!» Nie! Cały mój byt od pana zależy. Obowiązkiem pańskim jest wysłuchać mnie, bo gdy pan o wszystkim się dowie,—to pan mnie zrozumie i znajdzie środek na wyleczenie mnie w przeciągu miesiąca.

LEKARZ. Ależ on nie istnieje ten środek, — czyż pan nie może mnie pojąć? Nie będę miał pewności co do wyzdrowienia pańskiego—(o ile ta pewność jest możliwa)—wcześniej niż za trzy lub cztery lata.

CHORY. A ja panu mówię, że pan znaj-

dzie środek. Niech pan mnie posłucha: jeśli ja się nie ożenię, nie dostanę posagu. Proszę mi więc powiedzieć, czem wówczas zapłacę weksle, które podpisałem?

LEKARZ. No,—jeśli pan tak stawia pytanie—to o odpowiedź nie będzie trudno. Dam panu sposób na rozwiązanie sprawy. Zapozna się pan z człowiekiem bogatym, uczyni pan wszystko, by zdobyć jego zaufanie, a skoro pan zdobędzie — ograbi go pan.

CHORY. Nie mam najmniejszej ochoty do żartów.

LEKARZ. Ja nie żartuję. Okraść tego człowieka, zamordować go nawet — nie będzie to większą zbrodnią od tej, którą pan popełni, biorąc dziewczynę zdrową, i opanowując jej posag, bez względu na straszliwe skutki choroby, na którą pan ją naraża, i którą pan w nią wszczepi.

CHORY. Straszliwe skutki?..

LEKARZ. ...Skutki, wśród których śmierć nie jest najstraszliwszym...

CHORY. Mówił mi pan przed chwilą...

LEKARZ. Przed chwilą nie mówiłem panu wszystkiego. Choroba ta nawet zła-

godzona, nawet uśmierzona—mniej więcej—przez nasze lekarstwa, pozostaje tajemniczą, groźną, a w każdym razie tak poważną, że podłością było by narażać na nią pańską narzeczoną—tylko w tym celu, aby uniknąć nieprzyjemności, choćby i największych.

CHORY. Ale czyż to jest pewne, że to nieszczęście się przytrafi?

LEKARZ. I w najlepszej intencji kłamać nie chcę. Nie, nie jest to rzeczą bezwzględnie pewną. Ale prawdopodobną. A teraz jest jeszcze jedna prawda, którą panu wyjawić muszę. Lekarstwa nasze nie są nieomyślne. W nielicznych wypadkach—w bardzo nielicznych,—zaledwie pięć razy na sto, są bezskuteczne. Pan może być jednym z tych wyjątków. Żona pańska mogłaby nim być. A wówczas? wówczas... użyłbym wyrażenia, którego pan przed chwilą użył: Można by się spodziewać najgorszej katastrofy.

CHORY. Niech mi pan da dobrą radę.

LEKARZ. Tę jedną tylko dać panu mogę: nie żenić się. Na panu jest plama, dług na nim ciąży, o który może się nikt dopominać nie będzie, ale równie możli-

wem jest, że po długim, długim czasie zjawi się nagle, niespodziewanie wierzyciel i brutalnie zażąda wypłaty. Przecież pan jest człowiekiem od «interesów!» Małżeństwo jest kontraktem. Ożenić się bez wyjawienia prawdy, znaczyłoby tyle, co wejść w spółkę, zatajając stan bierny interesów. Wszak dobrze się wyraziłem? Byłoby to nieuczciwością i to powinno podlegać ustawodastwu karnemu.

CHORY. Cóż więc czynić?

LEKARZ. Niech pan odszuka swego teścia i otwarcie prawdę mu powie.

CHORY. Wówczas on nie odłoży mi terminu na trzy lub cztery lata, ale raz na zawsze odmówi mi swego zezwolenia.

LEKARZ. W takim razie, proszę mu nic nie mówić.

CHORY. Ale jeśli ja powodów mu nie wyjawię, to nie wiem, co on uczyni. On potrafi być bardzo gwałtownym — a narzeczona moja będzie stokroć bardziej odemnie zgubiona. Niechże pan słucha, panie doktorze; z tego wszystkiego, co powiedziałem, może pan wnosić że jestem człowiekiem, który zna wartość pieniędzy. I to jest prawdą. Uważam, że

pierwszym obowiązkiem naszym jest zdobycie stanowiska. Uczono mnie tego za mych lat dzieciennych i młodzieńczych. W naszych czasach ten wzgląd jest najważniejszym i nie byłbym się starał o tę, którą mam poślubić, gdyby nie była posiadała majątku (*wzruszony*). To jest zupełnie naturalne. Ale ona ma tyle przymiotów, tylekroć jest lepsza odemnie — że, że ją kocham, tak jak się kocha w powieściach... Najcięższem zmartwieniem mojem nie jest możliwość utraty tej kancelarji, którą nabyłem, aczkolwiek to jest ciężkie rozczarowanie i wielka przykrość — nie, najcięższem zmartwieniem byłoby mi utracenie — jej... Gdyby pan ją widział, znał... toby mnie pan zrozumiał... (*dotykając portfelu*). Oto tu mam jej fotografię, — proszę, niech pan się przypatrzy. (*Lekarz odmawia łagodnym ruchem*). Biedactwo moje!... Ciebie mam stracić, lub stać się powodem twego nieszczęścia!... (*Całuje fotografię, potem chowa ją do kieszeni*). Przepraszam pana, jestem śmieszny... To mi się często zdarza... Ale niech pan wnuknie w moje położenie... ja tak ją kocham!...

LEKARZ. Dlatego właśnie nie trzeba jej zaślubić.

CHORY. Ale jakże wziąć się do tego?... Jeśli cofnę się bez wyjaśnień, wszyscy domyślą się prawdy i utracę mą cześć.

LEKARZ. Nikt czci nie traci z powodu choroby.

CHORY. A jednak! Ludzie są tacy głupi! Ja sam, wczoraj jeszcze byłbym wyśmiał człowieka, znajdującego się w mem położeniu, byłbym odeń stronił, byłbym nim pogardzał... I gdybym to ja sam tylko miał cierpieć! Ale ona, ona tak mnie pokochała; przysięgam panu — ona jest tak dobra! Co to będzie dla niej zgryzota...

LEKARZ. Z pewnością mniejsza od tej, którejby później zaznała.

CHORY. Ależ z tego wyniknie skandal.

LEKARZ. Uniknie pan jeszcze większego.

CHORY (*kładzie nieznacznie na biurko dwa luidory, poczem sięga po rękawiczki, kapelusz i laskę. Wstając*). Namówi się... Dziękuję panu, panie doktore... Powrócę na przyszły tydzień tak jak pan mówił... prawdopodobnie (*chce odcho-*

Biblioteka Uniwersytecka w Przemyślu
id. A. Kackiewicz w Przemyślu

LEKARZ (*wstaje*). Nie. Nie zobaczę pana w przyszłym tygodniu, — a pan wcale się namyślać nie będzie. Przychodząc tu, wiedział pan już, co panu dolega, — a przyszedł pan po radę moją z ustalonym zamiarem zastosowania się do niej tylko o tyle, o ile ona odpowiadać będzie pańskim życzeniom. Powierzchnowa uczciwość nakłoniła pana do chwycenia się sposobności — pozornego zadośćuczynienia swemu sumieniu. Chciał pan znaleźć kogoś, na którego później możnaby rzucić odpowiedzialność za czyn, którego karygodność pan przewiduje... Niech pan mi nie zaprzecza! Wielu z pośród tych, którzy tu przychodzą, — myśli i działa tak, jak pan myśli i chce działać. Ale małżeństwo, zawarte wbrew mej woli, stało się dla nich najczęściej źródłem takich nieszczęść, że teraz zawsze się obawiam, żem do nich mówił nie dość przekonywająco i zdaje mi się, że mimo wszystko jestem po części powodem tych nieszczęść. Powinienem módz im zapobiedz, bo one nie stałyby się, gdyby ci, którzy są ich sprawcami, byli wiedzieli, co ja wiem i byli widzieli, co ja widziałem.

Niech pan mi przysięgnie, że zerwie to małżeństwo!

CHORY. Nie przysięgnę na to, panie doktorze. Mogę panu to jedno tylko powtórzyć: namyśle się.

LEKARZ. Nad czem?

CHORY. Nad tem, co mi pan powiedział.

LEKARZ. Ale to, co ja panu powiedziałem jest prawdą. Cóż pan może temu przeciwstawić? Nic. Odpowiedziałem na wszystkie pańskie obiekcje. Zdanie pańskie powinno być ustalone.

CHORY. Mój Boże, tak... pan zgadł, przypuszczając, że starałem się pouczyć, zanim do pana przyszedłem. Naprzód, jest że rzeczą pewną, że mnie dotknęła ta właśnie choroba? — Pan to potwierdza i może to jest prawdą. Ale lekarze i najmądrzejsi nawet, mylą się czasem... Słyszałem sam przecież, że mistrz pański, Ricord, twierdził, że w pewnym okresie czasu choroba ta przestaje być zaraźliwą. Twierdzenie to poparł przykładami. Pan dziś inne przytacza, by dowodzić, że on się mylił. — Owszem ja zgadzam się! Ale mam przecież prawo do namysłu... Otóż namyślając się, widzę, że cierpienia,

któremi pan mi grozi, są tylko możliwe. A chociaż pan chciał mnie zastraszyć, musiał pan przyznać i tę drugą możliwość — mianowicie, małżeństwo moje może nie wyrzucić żadnych złych skutków na osobę mej żony.

LEKARZ (*hamując się z trudnością*). Niech pan mówi dalej. Potem ja panu odpowiem.

CHORY. Mówił mi pan, że lekarstwa jego są potężne i że musiałbym należeć do owych pięciu wyjątków na sto, które pan stwierdził, — że moja żona również do tych rzadkich wyjątków należeć by musiała — by nastąpiły owe katastrofy, które pan zapowiadał. Otóż—gdyby matematyk jakiś chciał na tych danych oprzeć rachunek prawdopodobieństwa, wynik tego rachunku przekonałby go, że możliwość katastrofy wyraża się tu cyfrą niezmiernie małą. Biorąc zaś na wzgląd tę problematyczną możliwość nieszczęścia, spowodowanego mem małżeństwem, oraz pewność bezwzględną całego szeregu przeciwności, bólów, niepokoju, łez i wypadków może tragicznych, które spowodują cofając się — matematyk ów

mający stokroć więcej od pana praw do tytułu męża nauki i to nauki bardziej nieomyślnej—wywnioskowałyby, że prawdziwa mądrość jest nie po pańskiej, panie doktorze — ale po mojej stronie.

LEKARZ. Tak pan sądzi!—A zatem nie, nie—pan się myli! Obserwowano cierpliwie od początku do końca dwadzieścia wypadków zupełnie takich samych. Dziewiętnaście razy na dwadzieścia — żona dostała tej choroby od męża, słyszy pan, dziewiętnaście razy na dwadzieścia. I pan sądzi, że ta choroba nie ma w sobie zarodku niebezpieczeństwa i pan sobie przypisuje prawo narzucenia żonie tej możliwości, jak się pan wyraża, — że będzie jednym z tych wyjątków, w których opieka nasza jest zbyteczna! — A zatem potrzeba koniecznie, by pan się o wszystkim dowiedział! Trzeba, aby pan znał chorobę, której nabawić się może jego żona w stosunkach od niej niezależnych, z szansą niewątpliwą. — Proszę wziąć tę książkę, to dzieło mego mistrza, i proszę, proszę czytać sam, ...tu oto,... zaznaczyłem stronę... Pan nie chce czytać?

Dobrze, więc niech pan mnie słucha. (*Czyta z przejęciem*). «Widziałem nieszczęśliwą kobietę młodą, z której udzielony jej syfilis uczynił prawdziwego potwora. Twarz, lub raczej to, co z twarzy pozostało, przedstawiało jedną, ogromną ranę.»

CHORY. Dostyc, dostyc, przez litość, panie doktorze!

LEKARZ. Nie, nie. Pójdę dalej, obowiązkiem moim tutaj jest spełnić dobry uczynek, a czułość nerwów pańskich nie powstrzyma mnie (*czyta dalej*): «Wargi górnej ani śladu, tak, że szczeka górna była zupełnie odsloniona...» No dostyc, zatrzymam się, żal mi pana, który dopuszcza dla kobiety, i to jak pan mówi przez niego kochanej, ewentualność choroby, której opisu nawet znieść nie może. Ale od kogo ta kobieta zaraziła się? To nie są moje słowa, to mówi książka... «Od nędznika i głupca, który nie obawiał się wejść w związki małżeńskie, acz znajdował się w pełni drugorzędnego okresu, (jak to później stwierdzono) i który uznał za słuszne nie leczyć swej żony, aby jego

nie posądzono!» To, co ten człowiek zrobił, to samo pan teraz chce uczynić!

CHORY. Zasłużyłbym na te same nazwy i nawet na brutalniejsze jeszcze, gdybym żenił się wiedząc, że małżeństwo moje spowoduje takie okropności. Ale w to ja nie wierzę. Pan i pańscy mistrzowie jesteście specjalistami i dlatego macie skłonność do odnoszenia wszystkiego do przedmiotu waszych badań. Wypadek tragiczny, wyjątkowy, wywierają na was wpływ graniczący z urokiem i zdaje się wam, żeście go nigdy nie dość oświetili.

LEKARZ. Znam ten wykręt.

CHORY. Błagam pana, niech pan mi da skończyć. Powiedział mi pan, że na siedmiu ludzi jeden jest syfilitykiem, że takich wyleczonych i rzeźkich jest w Paryżu sto tysięcy.

LEKARZ. W istocie jest ich sto tysięcy, którzy chwilowo nie są przynajmniej pozornie pod wpływem ich djatezy *). Ale tysiące przeszły przez nasze szpitale,

*) Djateza—wyraz medyczny na oznaczenie fizjologicznej skłonności ku pewnej chorobie.

biedne ofiary najokrutniejszego spustoszenia, jakie znieść może nasze biedne ciało. Ale tych pan nie widzi, tych pan nie liczy... Dobrze! Mógłby pan tak rozumować, gdyby tu tylko o pana chodziło. Ale ja panu oświadczam i stwierdzam to, że panu nie wolno narażać ludzkiego stworzenia na ewentualności, — rzadkie, tak, wiem, ale straszne, a to wiem jeszcze lepiej. Cóż mi pan na to odpowie?

CHORY. Nic! — No... no tak... pan ma słusność. Już nie wiem, co mam myśleć...

LEKARZ. Czyż zakazując panu żenić się, zakazuję mu to raz na zawsze? Czyż chcę w pana wmówić, że pan się nigdy nie wyleczy?—Bynajmniej, pozostawiam panu całą nadzieję. Ale żądam odeń odłożenia tego zamiaru na trzy lub cztery lata, ponieważ w tym przeciągu czasu będę się mógł dowiedzieć, czy pan należy do tych nieszczęśliwych, których mi serdecznie żal, a dla których choroba ta jest bezlitosną; żądam tego, ponieważ w tym okresie będzie pan niebezpiecznym dla swej żony i dzieci.

Dzieci! Jeszcze panu o nich nie wspo-

minałem!... (*czule i przekonująco*)
Któż to widział! Pan jest przecież uczciwym człowiekiem i zbyt młodym, by pewne rzeczy już go nie wzruszyły, by być nieczułym na uczucie litości... Nieвозможноścią jest, bym nie znalazł drogi do pańskiego serca, bym pana nie zmusił do uwierzenia w prawdę mych przekonań! A wzruszenie, z którem do pana przemawiam, wskazuje panu jak bardzo jego smutkowi współczuję, jak z nim razem cierpię. Błagam pana w imię tej szczerości mojej. Przyznał mi pan już, że nie ma pan prawa narażania swojej żony na takie niebezpieczeństwa; niechże pan i to rozważy, że pan na to niebezpieczeństwo nietylko ją narazić może, ale że pan to nieszczęście jej dzieciom narzucić może, jej dzieciom, pańskim dzieciom!... I oto.. pomijam chwilowo zupełnie i ją i pana; ale w imieniu tych niewiniątek zaklinam pana, broniąc przyszłości i rasy! — Proszę, proszę mnie słuchać!... Na dwadzieścia takich małżeństw, o których panu wspomniałem, tylko piętnaście miało dzieci — zaś tych piętnaście miało dwadzieścioro ośmioro dzieci! A wie pan ile z tych dzieci utrzy-

mano przy życiu? — Troje, panie! Troje na dwadzieścia ośm! Syfilis jest przede wszystkim wielkim mordercą dzieci. Herod panuje we Francji i na ziemi całej, i co roku rzeź niewiniątek na nowo rozpoczyna. A gdyby to nie było bluźnierstwem przeciw świętości Życia, powiedziałbym, że najszcześniejsze są jeszcze te dzieci, które... znikły. Niech pan zwiedzi szpitale dziecinne. My znamy ów typ dzieci syfilitycznych. To typ klasyczny i lekarz go wśród wszystkich rozpozna, tych małych starców o wyglądzie tak przeżytym, noszących na sobie piętno wszystkich naszych słabości, wszystkich naszych upadków. Wśród rachitycznych, wśród tych malutkich, o głowach zbyt wielkich, tak wielkich, że je unieść nie mogą, wśród garbatych i bezkształtnych, wśród potworków i tych chorych na krzywicę lub kabłąkowatość kości, wśród kulawych o wrodzonym zwichnięciu biodra — wśród nich wszystkich znaczna część jest ofiarą ojców, którzy się pożenili, nieświadomi tego, co pan wie teraz, a co chciałbym z krzykiem rozgłaszać po miejscach publicznych!... Powiedziałem

panu to wszystko bez dramatyzowania szczegółów. Niechże się pan namyśli, niech pan zważy wszelkie za i przeciw, i niech pan się odważy na wszystkie te możliwe nieszczęścia i nędzy tak pewne!... Ale niech pan sobie nie ufa, niech pan pamięta, że na jednej szali są cudze nieszczęścia, na drugiej pańskie własne. Strzeż się pan, by nie być niesprawiedliwym!

CHORY. Dobrze. Ustępuję. Nie ożenię się. Wymyślę, nie wiem co... Otrzymam opóźnienie sześciomiesięczne... Ale więcej nie... nie mogę więcej!

LEKARZ. Potrzeba nie trzech, czterech lat nawet.

CHORY. Nie, doktorze. Proszę mieć litość nademną... Pan może mnie i w tym przeciągu czasu wyleczyć.

LEKARZ. Nie, nie, żadną miarą.

CHORY (*blagającym głosem*). Owszem, nauka jest wszechmocna...

LEKARZ. Nauka nie jest Bogiem. Cuda w niej się nie dzieją.

CHORY. Gdyby pan tylko zechciał!... Pan jest wielkim uczonym. Niech pan szuka, wynajdzie, znajdzie! Niech pan

na mnie probuje jakiejś nowej metody. Niech pan zdwoi, podziiesięciokrotni dawki! Niech pan mi każe cierpieć. Poddaję się panu. Wszystko, wszystko zniosę, przysięgam!... Przecież musi istnieć jakiś środek, któryby mnie uleczył w sześć miesięcy... Widzi pan, ja po tych sześciu miesiącach za siebie nie ręczę... Więc proszę pana w imieniu mojej żony i moich dzieci... Dla nich niech pan coś uczyni!...

LEKARZ. Ależ dosyć, dosyć!

CHORY. Na kolana, na kolana przed panem upadnę. Oh! gdyby pan to zechciał uczynić! błogosławiłbym go, ubóstwia! Moją wdzięczność całą dałbym za to, życie całe... pół inajątku! Przez litość, doktorze, proszę mnie wysłuchać, proszę coś wymyśleć, wynaleźć, ...proszę mieć litość!...

LEKARZ. Więc pan by chciał, abym dla niego więcej uczynił, niż dla wszystkich innych?

CHORY. Tak.

LEKARZ. Niechże się tedy pan dowie, że my — dla każdego chorego wszystko czynimy, co jest w naszej mocy, czy

nim jest wielka osobistość, czy ostatni nędzarz, przyniesiony do naszego szpitala. Nie mamy w zapasie tajemnic, wyłącznie zachowanych dla ludzi majątniejszych, lub nieszczęśliwszych od innych, lub dla tych, którym na pośpiechu wyleczenia bardziej zależy.

CHORY. Do widzenia, doktorze.

LEKARZ. Do widzenia się z panem.

(Zastona spada).

Akt II.

Pracownia prywatna Jerzego.

Po lewej stronie okno. Przed oknem biurko, na którym stoi aparat telefoniczny. Fotel. Osoba, która usiądzie przy tem biurku, będzie tyłem zwrócona do publiczności.

Po prawej stronie tuż przy biurku znów fotel, obok niego stolik, na którym rozłożono robotki kobiece—wiązanka kwiatów—krzesło. Na przedzie sceny, między oknem a kinkietami obszerny, głęboki fotel.

W głębi ładne szafy biljoteczne.

Na prawo, w głębi w kącie, gdzie się ściany schodzą—drzwi.

Pianino, stolec, krzesło.

Stół salonowy wprost księgozbioru. Kwiaty.

SCENA I.

MAŁŻONKA, potem CHORY.

Henrjetta siedzi przy stoliku, ustawionym koło biurka. Pracuje nad miłutkim dziecinnym czepeczkiem. Po chwili wkłada go na piąstkę, niby na główkę dziecka.

MAŁŻONKA. Oto czepeczek, który będę jeszcze mogła posłać mamce. Lila tak ślicznie będzie w nim wyglądać! — Dziecinko moja, uśmiechnij się do mateczki!.. Moja ty... (*Całuje czepeczek, poczem znów zabiera się do pracy. Jerzy wchodzi drzwiami w głębi*).

CHORY (*otwiera drzwi—widać go zdejmującego płaszcz w przedpokoju*). Hallo, hallo!... (*śmieje się*) Ha, ha, ha!

MAŁŻONKA (*wstaje wesół — mówi ze szczerością w głosie*). O! wiesz — ja od razu twój głos poznałam.

CHORY. Nie prawda... (*całuje ją*) Dzień dobry, żoneczko najdroższa... Złapała się biedna żoneczka... (*śmieje się*) Ha, ha, ha!...

MAŁŻONKA (*śmiejąc się również*). Nie śmieje się tak.

CHORY. «Hallo! hallo!... Pani Jerzowa Dupont?» (*udając nieśmiały głos kobiety*) «Tak... panie... to ja, panie.» I czułem, — że się czerwienisz u drugiego końca drutu.

MAŁŻONKA. Nie powiedziałam wcale: «to ja, panie» tym tonem zwłaszcza. Powiedziałam poprostu: «tak, panie.»

CHORY. «Hallo! pani Jerzowa Dupont? Czy Jerzy jest w domu?» (*śmieje się*) Dałaś się wziąć, no nie mów przypadkiem, że się nie dałaś wziąć!» (*udając głos niewieści*) «Nie panie; kto mówi ze mną?...» Już nie mogłem wytrzymać... «to ja Gustaw...» Ciągłe jeszcze wierzyłaś...

MAŁŻONKA. Cóż w tem dziwnego, że twój przyjaciel Gustaw...

CHORY. A kiedy dodałem (*udaje znów głos Gustawa*) «Jak się miewasz dziś rano?» krzyknęłaś «co?!» ale takie osłupiałe «co?!...» o tak: «Co?!»

MAŁŻONKA. Tak, ale wówczas zgadłam, że to ty mówisz.

CHORY. No, zdaje mi się, zwłaszcza, że wybuchnąłem śmiechem. Doskonale się ubawiłem. (*Siada naprzeciw niej, po prawej stronie, przy kominku, na poręczu fotelu i patrzy na nią uszczęśliwiony*).

MAŁŻONKA (*siedzi—z tym samym wyrazem szczęścia*). Jaki z ciebie jest czasem zabawny człowieczek!

CHORY. Ze mnie?

MAŁŻONKA (*wesoło*). Znam cię chyba

dobrze po piętnastu latach znajomości... i po roku małżeńskiego pożycia.

CHORY (*zaciekawiony*). Ty mnie znasz?.. Otóż powiedz! Mów!... Co myślisz o mnie?...

MAŁŻONKA. Jesteś niespokojny... zazdrosny, podejrzliwy... Całe życie wrzucasz sobie muchy do mleka, a potem zajmujesz się wynajdywaniem mądrych kombinacji, za pomocą których mógłbyś je stamtąd wyciągnąć.

CHORY (*zadowolony, że o nim mowa*). Ja?... tak myślisz?... A, doprawdy, tak myślisz?... A potem, potem... powiedz co myślisz jeszcze o mnie?

MAŁŻONKA. Czy nie prawda?

CHORY (*z uśmiechem równym przyznaniu się*). I cóż dalej?

MAŁŻONKA. To nie były sidła, które na mnie zastawiłeś?

CHORY (*tym samym tonem*). Nie...

MAŁŻONKA. Naprzód chciałeś się zapewnić, że nie wyszłam z domu... Prosiłeś, abym dziś nie szła do Luwru.

CHORY (*naiwnie*). Tak, wistocie...

MAŁŻONKA. A ponieważ wszystkich posądzasz... nawet mnie!..

CHORY. Nie, ciebie nie.

MAŁŻONKA. Owszem, ale nie mam do ciebie żalu, gdyż zawsze takim byłeś i i ponieważ wiem, że na dnie tego wszystkiego, w duszy twojej jest wiele nieśmiałości i trochę bólu...

CHORY (*poważnie*). Tak się ze mnie wyśmiewano, gdy byłem dzieckiem.

MAŁŻONKA (*wesoło*). A potem, może... masz powody do nieufności względem owej obojętności serdecznego przyjaciela męża, wielkiego zdobywcy serc.

CHORY (*śmiejąc się*). Ha, ha! Nie, do prawdy, słowo ci daję, — nie rozumiem, co ty chcesz przez to powiedzieć!

MAŁŻONKA. A gdybym ci była odpowiedziała, myśląc, że mówię do Gustawa: «Miewam się doskonale, a ty?»

CHORY (*śmiejąc się*). Tak, jest to zabawa, którejby nie można każdemu zalecić. (*zmieniając temat rozmowy*). Nie wiem jeszcze... Gdym przyszedł... Jan...

MAŁŻONKA. Cóż takiego?

CHORY. Oświadczył mi, że żąda podwyższenia płacy.

MAŁŻONKA. Dobrą chwilę sobie wybrał.

CHORY. Nieprawdaż?... Zapytałem go,

czy mu nie wystarcza sprzedaż moich cygar.

MAŁŻONKA. Cóż on na to?

CHORY. Rozgniewał się i podziękował mi za służbę. Tym razem zgodziłem się, a on się wścieka.

MAŁŻONKA. Dobrze uczyniłeś.

CHORY. Odejdzie z końcem miesiąca i wreszcie pozbędziemy się go... Mama będzie uszczęśliwiona... A prawda, — powiedz mi, nie przyszedł telegram od mamy?

MAŁŻONKA. Nie.

CHORY. A zatem dopiero jutro powróci.

MAŁŻONKA. Gdyby szła za popędem swego serca, nigdyby nie opuściła wnuczki.

CHORY. Jesteś zazdrosną?

MAŁŻONKA. Jestem trochę niespokojna... Choć wiem, że matka twoja zatelegrafowałaby, gdyby się cokolwiek przytrafiło.

CHORY. Naturalnie, wczoraj jeszcze, — stosownie do naszej umowy.

MAŁŻONKA. Możebyśmy byli lepiej uczynili, zatrzymując nasze maleństwo przy nas?

CHORY. Znów do tego powracasz?

MAŁŻONKA. Nie, nie... Nie łaj mnie...
Przyznaję się, że powietrze Paryża nie
było dla niej odpowiednie.

CHORY. I ciągle jeszcze wierzysz, że
pył unoszący się z moich aktów byłby
dla niej zdrowszy, niż powietrze wiejskie?

MAŁŻONKA (*śmiejąc się*). Ależ... kiedy
ci powtarzam, że nie...

CHORY. No naturalnie, wiem... są jesz-
cze skwery i unoszące się po nich zapa-
chy kuchni i żołnierzy...

MAŁŻONKA. Nie sprzeciwiaj mi się.
Masz słuszność.

CHORY. No, na szczęście raz mi to
wreszcie przyznasz.

MAŁŻONKA. Zresztą jest jej tam bardzo
dobrze. Ta mamka, to zacna kobieta.

CHORY. Mamka jest dumna, że wycho-
wuje wnuczkę deputowanego.

MAŁŻONKA. Mój ojciec nie z tego okrę-
gu posłuje, ale zawsze...

CHORY. Ale jest posłem z tego depar-
tamentu.

MAŁŻONKA. No, tak.

CHORY. Słyszę już mamkę, mówiącą
do swych kumoszek: (*naśladuje wymo-*

wę *chłopską* — «*z miejską*»). A to ci mi trafiła się gratka... Mam przy piersiach wnuczkę naszego posła... Słuchajcie, kumo... taką grubą, jakby nasze cielę.. a taka ci łąbska, ...wszystko zaraz se rozważy.

MAŁŻONKA (*śmiejąc się*). Nie... Przecież ona tak nie mówi...

CHORY. Powiedz lepiej odrazu, że wcale nie mam zdolności do naśladowania, co?

MAŁŻONKA. Tego nie mówię.

CHORY. A czy ty myślisz, że mama byłaby oddała malutką pod opiekę tej mamki, gdyby nie była zupełnie pewną, że ją będzie dobrze pielęgnować... że nie byłaby ją natychmiast z powrotem odwiozła, gdyby było inaczej... I to jeszcze mama, która ją odwiedza co tydzień.

MAŁŻONKA. Czasem nawet dwa razy na tydzień.

CHORY. Tak...

MAŁŻONKA. Nasza Lili może poszczyścić się babką tak kochającą...

CHORY. No, ja myślę.

MAŁŻONKA. To też ja ją uwielbiam, twoją matkę... ona taka dobra...

CHORY. My wszyscy w rodzinie tacy jesteśmy.

MAŁŻONKA. Wyobraź sobie, raz... było to za naszych ostatnich odwiedzin... tam... Byliśmy z nią... Wyszedełś... nie wiedziałam, dokąd...

CHORY. Chciałem obejrzeć ów kufer z szesnastego wieku...

MAŁŻONKA. Tak, ten twój sławny kufer! (*śmieje się*).

CHORY. Nie mówmy o tem... więc mówilaś ..

MAŁŻONKA. Nie było cię w domu. Mamka, zdaje mi się, poszła na mszę.

CHORY. Albo do szynku... mów dalej, mów...

MAŁŻONKA. Byłam w pokoiku, obok—mama myślała, że jest sama z Lilą... Słyszałam... opowiadała jej najróżnobarwniejsze historje... Śliczne rzeczy... ale tak czute... Chciałam równocześnie śmiać się i płakać.

CHORY. Z pewnością nazwała Lilę «mój ty bożku malutki?»

MAŁŻONKA. Wistocie. Czy słyszałaś ją?...

CHORY. Nie, ale niegdyś to ona mnie tak nazywała.

MAŁŻONKA. I tego dnia przysięgała się, że malutka ją poznała i uśmiechała się do niej.

CHORY. Oh! A znów innym razem, tutaj... Wszedłem do pokoju mamy; ona nie słyszała moich kroków, bo drzwi były odchyłone... I spostrzegłem ją w ekstazie przed parą malutkich bučików, które koniecznie chciała dać Lili w dzień jej chrztu... Wiesz...

MAŁŻONKA. Tak, tak.

CHORY. Poczekajże... Wzięła ten bučik i pocałowała go...

MAŁŻONKA. Coś ty na to powiedział?

CHORY. Nic, — cofnąłem się cichutko, bardzo cicho i przez drzwi posłałem dobrej babuni serdecznego całusa.

MAŁŻONKA. A jak się ona pospiesznie ubierała wczoraj, otrzymawszy list od mamki, byle tylko zdążyć na pociąg, odchodzący (o ósmej i 59 minut) minutę przed dziewiątą...

CHORY. A przecież nie stało się nic tak ważnego...

MAŁŻONKA. Nie, nie! A jednak może miała słuszność... może ja powinnam była jechać z nią...

CHORY. Naiwna jesteś Henrjetto! — Wierzysz we wszystko, co ci kto powie... ja odrazu zwąchałem prawdę... Mamka chce nas naciągnąć... chcesz się założyć? Założę się o cokolwiek... o co chcesz się założyć?... Co, nie chcesz?... Chcesz?... O, widzisz, zakładam się o ten piękny naszyjnik, wiesz?... Z tą wielką perłą?...

MAŁŻONKA. Nie, zbyt się obawiam, że mogłabym wygrać...

CHORY. Dzieciak z ciebie! (*śmieje się*) Czy ty myślisz, że ja to nasze maleństwo mniej kocham od ciebie... A wiesz ty przynajmniej dokładnie w jakim ona jest wieku?... ale dokładnie... A widzisz!... ona ma dziewięćdziesiąt jeden dni i ośm godzin... (*śmieje się*) Ha, ha... A jak sama chodzi zacznie!... Wówczas ją odbierzemy... Ale trzeba jeszcze co najmniej sześć miesięcy zaczekać!

MAŁŻONKA. Tak, — sześć miesięcy, to

dlugi przeciąg czasu. I tak sobie myślę, że gdybyś nie był opóźnił naszego małżeństwa o sześć miesięcy,—to Lili byłaby już dziś tu między nami.

CHORY. Już ci ze sto razy powiedziałem, że czyniąc tak, spełniłem tylko mój obowiązek... Zresztą pomyśl tylko... Oto jakiś lekarz oświadcza mi, że może jestem piersiowo chorym... Miałem się żenić?...

MAŁŻONKA. Czy też ty wyglądasz na piersiowego!... Ten twój lekarz jest oślem!

CHORY. Tak, w zasadzie godzę się na to, oni nie są zbyt silni w swym fachu.

MAŁŻONKA. I jeszcze trzy czy nawet cztery lata chciałeś czekać...

CHORY. Tak, aby się przekonać, że mam zupełnie zdrowe płuca...

MAŁŻONKA. Nazwałeś mnie przed chwilą—naiwną; ty zaś sam, skoro tylko lekarz...

CHORY. Ależ wiesz przecie, że miałem w samej rzeczy—jak się zdaje — początek chronicznej bronchitis... Czuję doskonale, gdy oddychałem... trochę silniej...

o, o, tak... trochę silniej jeszcze... o, w ten sposób... tak... odczuwałem tu i tam z obu stron klatki piersiowej — coś, niby ciężar, trudność oddechu...

MAŁŻONKA. Ale to nie był wystarczający powód do odraczenia naszego małżeństwa.

CHORY (*wstaje*). Owszem, owszem... Mówię ci, że to był mój obowiązek. Nie miałem prawa narażać cię na zaślubienie suchotnika. ...na narażanie twojej osoby... Niczego nie żałuję... Ale dziś z tych znakomitości... kpię sobie nie źle... I gdybym znał jakiegoś chorego, powiedziałbym mu: «Wie pan, tych znakomitości, tych po czterdzieści franków za poradę... nie polecam panu!...

MAŁŻONKA. A ten zażądał czterech lat, by cię wyleczyć...

CHORY. A jakże... Wiesz... to są lekarze, ale oni również są ludźmi... Życ muszą, nieprawdaż?... Otóż, rozumiesz, oni chcieliby mieć jak najwięcej takich chorych, którzy im tę cenę płacą za poradę...

MAŁŻONKA. I jakiś sobie doktorek z pod ciemnej gwiazdy wyleczył cię w trzy miesiące!...

CHORY. Taki sobie doktorek... Znalazłem jego adres wśród ogłoszeń w dzienniku. ...Ja nawet brzydko postąpiłem, że o nim zapomniałem, zgubiłem jego adres... ale to tak, że nawet nie mam pojęcia... Jak przez mgłę przypominam sobie, że to było gdzieś w dzielnicy hal targowych... ale gdyby mi powiedziano: «Znajdź go, lub ci łeb utnę...» musiałbym zgodzić się na tę drugą alternatywę... do prawdy.

MAŁŻONKA. I oto dlaczego Lila jest o sześć miesięcy młodsza, niż być powinna.

CHORY. Dlatego też zatrzymamy ją o sześć miesięcy dłużej... Wielka rzecz!... Wyjdzie o pół roku później za męża!...

MAŁŻONKA. Nie wspominaj mi o tem! Już mi dziś przykro myśleć, że ona kiedyś wyjdzie za męża!

CHORY. Ja zaś widzę siebie wchodzącego pod rękę z nią na schody kościoła św. Magdaleny.

MAŁŻONKA. Czemu właśnie św. Magdaleny?

CHORY. Nie wiem... Tak ją widzę, pod

ślubnym welonem... a siebie we fraku ...z orderami na piersi.

MAŁŻONKA. Z orderami!... Cóż byś ty takiego zrobił, aby order dostać?

CHORY. Nie wiem... ale widzę ordery na mej piersi... Wytlómacz sobie to, jak chcesz; ja widzę, że będę miał ordery... I widzę także, jak gdybym tam był na miejscu,—łydki białe portjera, jego halabardę, potem modystki i kuchciki stojących w szpalerze ciekawych...

MAŁŻONKA. To bardzo odległe rzeczy...

CHORY. No tak.

MAŁŻONKA. Na szczęście... (*wstając*) Chodźmy! Pozwolisz mi chyba teraz oddać kilka wizyt.

CHORY. Idź, idź żoneczko... Idź, ja tymczasem będę ciężko pracował... Nie zdążysz jeszcze zejść na dół, kiedy ja już nos mój zagłębię w te szpargały... Do widzenia.

MAŁŻONKA. Do widzenia.

(Całują się. Ona wychodzi drzwiami w głębi, po prawej. Po jej wyjściu Jerzy zapala papierosa i rozciąga się w fotelu, po lewej stronie. Poprzednio przypatrzył się sobie w lustrze... Nuci... Ale jeszcze niedość mu wygodnie, więc odsuwa fotel z przed biurka i kładzie na nim

nogi. Wypuszcza kłęby dymu, podśpiewuje. Jest bardzo szczęśliwy i zadowolony ze siebie. Drzwiami z lewej strony wchodzi pani Dupont).

SCENA II

CHORY, MATKA.

CHORY (*wstając*). A!... Mama! Jakże się to stało? Nie dostaliśmy depeszy! Spodziewaliśmy się mamy dopiero jutro... Henrjetta w tej chwili wyszła... Ale można ją odwołać...

MATKA. Nie... Nie chciałam tu zastać Henrjetty...

CHORY. Co się stało?...

(Cała ta scena od tej chwili aż do końca przerywana jest długimi chwilami milczenia po każdej odpowiedzi).

MATKA. Przywiozłam z sobą mamkę i dziecko.

CHORY. Czy malutka jest chora?

MATKA. Tak.

CHORY. Co jej jest?

MATKA. Nic ważnego — przynajmniej tymczasem.

CHORY. Trzeba posłać po lekarza.

MATKA. Wracam od niego.

CHORY. Dobrze. Zatem nie wyjdę. Poczekam na niego.

MATKA. Widziałam go.

CHORY. Szczęście, żeś go znalazła.

MATKA. Telegrafowałam doń stamtąd. Zaniosłam mu naszą małą.

CHORY. A więc to tak poważne...

MATKA. Usłyszawszy to, co mi mówił lekarz mamki, potrzebowałam natychmiastowego upewnienia.

CHORY. Ale wogóle, nic niema ważnego?

MATKA. Chwilowo...

CHORY. W jakim stanie zastałaś dziecko, — po przyjeździe?

MATKA. W dość dobrym, ale sprowadziłam natychmiast doktora.

CHORY. Cóż on powiedział?

MATKA. Że trzeba odstawić naszą małą i karmić ją flaszka..

CHORY. To także pomysł!

MATKA. Oświadczył mi, że choroba dziecka może przybrać poważne rozmiary. Wówczas zabrałam mamkę i wsia-
dłam do pociągu.

CHORY. Ostatecznie... cóż to za choroba?

MATKA (*po namyśle*). Nie wiem.

CHORY. Nie zapytałaś się o to?

MATKA. Owszem.

CHORY (*zaczyna się niepokoić*). No i...

MATKA (*po chwili*). Odpowiedział mi wykrętem.

CHORY (*bezbarwnie*). Prawdopodobnie sam nie wiedział.

MATKA (*po chwili*). Prawdopodobnie. (*Od tej chwili nie patrzą sobie w oczy, jedno wymija wzrok u drugiego*).

CHORY. Ale nasz doktor domowy... powiedział ci...

MATKA. Ja nie u niego byłam.

CHORY. Tak?... (*dłuższe milczenie, ciszej*). Dlaczego?

MATKA. Lekarz mamki tak mnie przstraszył...

CHORY. Doprawdy?

MATKA. Tak... to... choroba... (*milczenie*).

CHORY (*z przerażeniem*). A więc!...

MATKA. Pytałam go, czy wypadek jest tak poważny, że nawet porada naszego lekarza domowego nie będzie wystarczającą.

CHORY. Cóż on odpowiedział?

MATKA. Że byłoby pożądanem poradzić się jakiejś znakomitości, jeśli mamy środki po temu.

CHORY (*stara się uspokoić*). I... do kogo on cię posłał?...

MATKA. Oto... (*podaje mu bilet wizytowy*).

CHORY. Posłał cię do tego właśnie doktora?

MATKA. Tak. Czy ty go znasz?

CHORY. Nie... tak... Spotkałem go, zdaje mi się... nie wiem... (*cicho*). Mój Boże!

MATKA (*po chwili*). Przyjdzie rozmówić się z tobą.

CHORY (*zaledwie ośmiela się wymawiać poszczególne wyrazy*). Więc on się niepokoi?...

MATKA. On chce z tobą mówić!

CHORY. Ze mną chce mówić?

MATKA. Tak.

CHORY (*z rezygnacją*). Dobrze.

MATKA. Zobaczywszy niańkę — którą pozostawiłam w salonie — poprosił mnie do swego pokoju i rzekł mi: «Proszę pani — niemożliwością byłoby dla mnie dalsze pielęgnowanie tego dziecka, gdybym poprzednio, dziś jeszcze, nie rozmó-

wił się z ojcem.» — Odpowiedziałam: «Dobrze...» i dałam mu twój adres. — Niebawem nadejdzie.

CHORY (*bez łez — cicho do siebie*). Biedna ty córeczko moja!

MATKA (*patrząc nań*). Tak, biedne to dziewczątko.

CHORY (*po dłuższem milczeniu*). Mamo....

MATKA (*usłyszała skrzypnięcie drzwi*)
Pst!

(Wchodzi służąca, która zbliża się do pani Dupont i mówi do niej kilka słów).

MATKA (*do Jerzego*). To on!... (*do służącej*) Prosić. (*do Jerzego*) Gdybyś mnie potrzebował... będę w sąsiednim pokoju. (*Wychodzi na lewo. Na prawo wchodzi lekarz*).

SCENA III

CHORY, LEKARZ.

LEKARZ (*do służącej*). A zatem proszę mnie zawołać, gdy dziecko się zbudzi. Dobrze?

SŁUŻĄCA. Dobrze, panie doktorze (*wychodzi*).

CHORY (*z najwyższem wzruszeniem*). Dzień dobry panu, panie doktorze... Pan mnie nie poznaje?

LEKARZ (*spokojnie*). Pan... to pan... (*raczej ze smutkiem niż gniewnie*). Pan się ożenił i pan masz dziecko... po wszystkim co panu powiedziałem... (*szeptem*) Jesteś pan nędznikiem...

CHORY. Niech mi pan pozwoli wytłómaczyć się.

LEKARZ. Ani słowa. Niema wytłómaczenia dla pańskiego postępuku.

CHORY (*po chwili — błagającym głosem*). Pan raczy mimo wszystko pielęgnować mą córeczkę, nieprawdaż?... (*Lekarz wzrusza ramionami*).

LEKARZ (*cicho*). Głupiec!

CHORY (*nie słyszał*). Mogłem tylko odwlec o sześć miesięcy.

LEKARZ (*łagodnie*). No, ale dość tego, panie. To wszystko zupełnie mnie nie obchodzi. Źle nawet uczyniłem, że panu moje oburzenie zdradziłem. Obowiązkiem mym było pozostawić panu wyrobienie sobie sądu o nim samym. Obecnie

muszę się zająć wyłącznie teraźniejszością i przyszłością, dzieckiem i mamką.

CHORY. Mamka nie jest w niebezpieczeństwie?

LEKARZ. Owszem, może się zarazić.

CHORY. Nie, ale... moje dziecko?

LEKARZ. Dotychczas objawy nie są niepokojące.

CHORY. Dzięki, doktorze. (*Spokojniej*)
Więc pan mówi, że co do mamki... Czy pan pozwoli wezwać mamę, ona lepiej wie odemnie...

LEKARZ. Jak pan sobie życzy..

CHORY (*idzie ku drzwiom, nagle wraca bardzo wzruszony*). Mam prośbę do pana. Niech pan tak raczy postąpić, by ani żona moja, ani nikt nie dowiedział się o tem, co się stało... Gdyby moja biedna żona dowiedziała się, że ja jestem powodem... Ja dla niej pana o to błagam... Ona, ona jest niewinna.

LEKARZ. Obiecuję panu, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, by nie dać jej poznać istoty tej choroby.

CHORY. Oh! dziękuję panu, dziękuję panu...

LEKARZ. Proszę mi nie dziękować...

Gdyż istotnie zgodziłem się na to kłamstwo tylko przez wzgląd na nią, a nie na pana.

CHORY. A mama?

LEKARZ. Matka pańska wie całą prawdę.

CHORY. Ale...

LEKARZ. Proszę pana... Mamy wiele rzeczy do omówienia, obszernie i poważnie... *(Jerzy idzie ku drzwiom w głębi i wprowadza matkę).*

SCENA IV

MATKA, LEKARZ, CHORY.

(Pani Dupont wita się z lekarzem, prosząc go, by usiadł na fotelu koło kominka; sama siada na krześle koło stolika. Jerzy siada na lewo na fotelu przy biurku).

LEKARZ. Proszę pani, zapisałem lekarstwo dla dziecka. Sądzę, że uda mi się polepszyć jego stan i zapobiedz nowym objawom. Ale na tem nie kończy się obowiązek mój i pani. Póki czas jeszcze—trzeba ratować zdrowie mamki.

MATKA. Niech pan doktor zechce nam powiedzieć, co czynić należy.

LEKARZ. Trzeba odstawić dziecko.

MATKA. Zmienić mamkę?

LEKARZ. Nie pani; tego dziecka nie można już karmić piersią. Nie może tego czynić ani ta, ani żadna inna zdrowa mamka.

MATKA. Dlaczego?

LEKARZ. Bo dziecko zaszczepiło by swą chorobę tej, któraby je karmiła.

MATKA. Ależ, panie doktorze,—nasza mała... umrze, jeśli ją flaszką karmić będziemy.

CHORY (*wybuchając płaczem*). Córeczko moja biedna... Mój Boże! Mój Boże! To ja... to ja... oooo!

LEKARZ. Odpowiednie karmienie mlekiem sterylizowanym...

MATKA. To środek może wystarczający dla zdrowych dzieci, ale nie można odstawiać trzymiesięcznego dziecka, takiego biednego, delikatnego, chorego małego jak nasze. To dziecię bardziej od każdego innego potrzebuje koniecznie karmienia piersią! Czyż nie?

LEKARZ. Tak, ale...

MATKA. Pojmuje pan, że mając wybierać między życiem mamki a życiem dziecka, wahać się nie mogę.

CHORY (*szlochając*). O! O! O! O!

LEKARZ. Miłość pani dla tej dzieciны wyrwała pani słowa graniczące z okrucieństwem. Pani wcale prawa wyboru nie ma. Dalszemu karmieniu przez mamkę sprzeciwię się. Zdrowie tej kobiety nie należy do pani.

MATKA. A życie naszego dziecka też do pana nie należy! Jakto! Jest tylko jeden środek ocalenia go, to jest otoczyć je jak największą opieką, a pan by chciał, bym je odżywiała sposobem, który wy, lekarze, potępiać nawet wobec dzieci silnych. Pan myśli, że pozwolę sobie wydrzeć to dziecko w ten sposób! Nie, ono będzie miało pokarm, którego mu potrzeba, ręczę panu! Moja biedna dziecinko! Więc byłby jeden—jedyne środek ratunku, a ja miałabym go zaniedbać! Ależ to byłaby zbrodnia! Mamka! mamka!... potrafimy spełnić nasz obowiązek... zapłaci się jej odszkodowanie, ale dziecko nasze przede wszystkim!... Nie, panie, nie!... Uczynię wszystko, co można, dla naszego dziecka—bez względu na wszelkie koszty!... Nie, pan nie ża-

da odemnie, bym je poświęciła... ale... ale... uczynić to, co pan mówi... Niech pan o tem nie myśli nawet!... Popęlniałabym morderstwo!... (*przez łzy*) Mój ty biedny aniołeczku, moje ty bóstwo malutkie! (*Jerzy wciąż szlocha. Gdy matka wymawia ostatnie wyrazy, płacz jego staje się niemal do krzyku podobny. Tupie nogami, włosy wyrywa, zda się znosić gwałtowny ból fizyczny*).

CHORY. O, o, o! moje biedne dziecko, moja dziecinka! O, o, o!... (*ciszej*) Nędznik! Prawda! Nędznikiem jestem... zbrodniarzem jestem.

LEKARZ. Trzeba się uspokoić, pani, trzeba się uspokoić... Łzami pani nie polepszy położenia... trzeba na nie patrzeć z zimną krwią.

MATKA (*stara się uspokoić*). Ma pan słuszność... przepraszam pana... ale gdyby pan wiedział, czem to dziecko jest dla mnie... Straciłam jedno w tym wieku... Jestem starą... i wdową... Nie spodziewałam się żyć tak długo, by wnuków doczekać... Pan ma słuszność... Uspokój się Jerzy... Źłe by to było kochanie... pozwalać sobie na łzy... Pomó-

wimy poważnie, panie doktorze i spokojnie... ale oświadczam panu, że nie potrafi pan nakłonić mnie do zaniedbania wobec tego dziecka czegokolwiek, co mogłoby mu zabezpieczyć możliwie najlepsze warunki... Nie chcę, nie chcę tej flaszki, któraby je zabiła! Rozumie mnie pan!

LEKARZ. Nie po raz pierwszy znajduję się w podobnem jak dziś położeniu. Otóż i ja pani oświadczam, że zawsze, zawsze bez wyjątku, słyszy pani—rodzice którzy mnie nie usłuchali, okrutnie tego nieposłuszeństwa żałować musieli.

MATKA. Żałowałabym tylko, gdybym...

LEKARZ. Ale pani nie wie, do czego taka mamka jest zdolna. Pani nie wie, do czego może taką kobietę doprowadzić żal, słuszny zresztą, zwłaszcza gdy się doń przyłączy pożądliwość, chciwość i złość chłopów, którzy w mieszczaninie zawsze wroga widzą, a stają się okrutnemi, gdy na nich własną niższość i krzywdę pomścić mogą.

MATKA. Cóż ona nam zrobić może?

LEKARZ. Co może zrobić?... Proces może państwu wytoczyć.

MATKA. Ona jest za głupia by wpaść na taki pomysł.

LEKARZ. Inni jej go podsuną.

MATKA. I przytem jest za biedną, by zapłacić koszty procesu.

LEKARZ. Czyż państwo chcecie wyzyskać tę jej nieświadomość i ubóstwo? Zresztą ona może z łatwością otrzymać bezpłatną opiekę z ramienia władz sądowych.

MATKA. Czy to kto kiedy widział?

LEKARZ. Owszem. Znam z dziesięć analogicznych procesów, w których zawsze, ilekroć udało się przeprowadzić dowód prawdy, rodzice zostali skazani.

MATKA. Pan się z pewnością myli, panie doktorze. W naszym wypadku to jest niemożliwe. Przenigdy stać się to nie może, gdy chodzi o uratowanie życia biednemu niewiniątku.

LEKARZ. A jednak takie wypadki zdarzały się... Mógłbym tu przytoczyć kilka wyroków sądu...

CHORY (*wstaje*). Mam tu księgę wyroków, mogę zajrzeć... (*bierze z półki księgę, którą podaje lekarzowi*).

MATKA. To zbyteczne...

LEKARZ (*do Chorego*). Będzie się pan mógł przekonać. Raz czy dwa razy skazano rodziców na płacenie mamce dożywocia, w innych wypadkach,—na zapłacenie jej odszkodowania w wysokości trzech do ośmiu tysięcy franków.

MATKA. Oh! Gdyby przyszło do procesu, znaleźlibyśmy dobrego adwokata. Możemy wybrać i zapłacić najlepszego, a on z pewnością zapytałby się trybunału, kto tu właściwie został zarażony, dziecko od mamki, czy mamka od dziecka.

LEKARZ. Czy pani nie widzi, że to by było potworne?

MATKA. Oh! ja bym tego przecież nie powiedziała. Ale adwokat... ..to jego rzemiosło... W każdym razie, czy tak czy owak, wygrałby nam ten proces.

LEKARZ. A czy pani pomyślała, jakiby skandal mógł z tego wyniknąć?

CHORY (*który tymczasem przeglądał księgę wyroków*). Oto wyrok, o którym doktor mówił... 6000 franków... (*podaje lekarzowi księgę*).

LEKARZ. Niech go pan da pani do prze-

czytania... A skoro pan posiada ten zbiór, to proszę mi dać tom poprzedzający.

CHORY (*z wielką gotowością*). Natychmiast, panie doktorze.

LEKARZ. Tak, tak pani... czy pani pomyślała o możliwości skandalu wywołanego przez prasę?

CHORY (*zbliza się do Lekarza*). Panie doktorze, niech pan mi pozwoli na małą uwagę. Przy wyrokach tego rodzaju nie ogłasza się nazwisk.

LEKARZ. Ale na posiedzeniach sądowych wymawia się je.

CHORY. Tak, to prawda.

LEKARZ. A czy pani może mieć pewność, że nie znalazłby się dziennik, któryby taki wyrok ogłosił?...

MATKA. Do czegoż one się już nie mieszają te brudne dzienniki!...

LEKARZ. Więc pani widzi, co by to był za skandal? Co to by był za wstyd dla państwa?

CHORY. Doktor ma słuszność, mamo...

LEKARZ. I jaka katastrofa!...

CHORY. Zwłaszcza dla notaryusza (*wraca do księgozbiornu po żadaną księgę*).

MATKA. Nie dopuścimy do procesu. Damy jej czego zażąda.

LEKARZ. W takim razie wydacie się państwo ze związanemi rękami na łup wymuszeń. Znam pewną rodzinę, która w ten sposób opłacała się przez dwanaście lat.

CHORY. Czy pan pozwoli mi, panie doktorze, że... Przecież można kazać jej podpisać pokwitowanie.

LEKARZ. Jako załatwienie wszystkich rachunków?

CHORY. Ot znalazłem... Tu w tym to-
mie.

MATKA. Ona będzie nawet uszczęśliwioną, że będzie mogła powrócić w swe rodzinne strony z kapitałikiem, wystarczającym jej na kupno domku i kawałka ziemi. Tam na wsi, nie wiele potrzeba, by wyżyć (*wchodzi mamka*).

MAMKA. Proszę pana, mała obudziła się...

LEKARZ. Idę ją zobaczyć. (*do pani Dupont*) Za chwilę będę pani służył.

MATKA. Doskonale... Czy pan doktor mamkę z sobą zabiera?

LEKARZ. Nie, pani.

MATKA. Mamko, zostańcie z nami... poczekajcie chwilę... chce z wami pomóc. (*Lekarz wychodzi*).

SCENA V.

CHORY, MATKA, MAMKA.

MATKA (*cicho do syna*). Znalazłam sposób załatwienia wszystkiego. Jeśli ją powiadomimy o wszystkim, a ona się zgodzi, lekarz już nam nic nie będzie mógł zarzucić. Nieprawdaż?

CHORY. Oczywiście.

MATKA. Przyrzeknę jej 2,000 franków przy wyjeździe, jeśli zgodzi się na dalsze karmienie dziecka.

CHORY. Czy 2,000 franków wystarczy?

MATKA. Zobaczę. Jeśli wahać się będzie — podwyższę sumę. Pozostaw mi wolność działania.

CHORY. Tak, dobrze.

MATKA (*do mamki*). Mamko, wiem, że mała jest trochę chora.

MAMKA. Ależ nie, pani.

MATKA. Owszem.

MAMKA. Proszę pani, ja ją starannie

pielegnowalam i zawsze czysto bylo koło dziecka.

MATKA. Nie przeczę. Ale dziecko jest chore: tak lekarze orzekli.

MAMKA. Także coś! ładna mi złość ludzka!... Ci doktorzy, to myślą, że ludziska posądziliby ich, że rzemiosła swego nie znają, gdyby wiecznie jakiejś choroby nie wynajdywali.

MATKA. Nasz lekarz to znakomitość. Wszak sama widzieliście, że dziecko ma plamki czerwone...

MAMKA. A dyć to proszę pani jest ogień, ostra krew wychodzi, — niema co się gryźć... Ja pani mówię, że to siła krwi,... to nie moja wina... przysięgam, że niczego maleństwu nie brakowało i zawsze czystość koło niego utrzymywałam...

MATKA. Żadnych wymówek wam nie czynimy...

MAMKA. A cóż mi można wymawiać... co?... A! co za nieszczęście! Takaci ślicznota, maleństwo — chuderlawe to trochę, Ale cóż?... Paryskiedziecko, to tak zawsze, ale zdrowe jest, to zaręczam!

MATKA. Ale nie, powiadam wam, ona

jest zaziębiona, zakatarzona, ona ma wrzodziki w gardle.

MAMKA. Toć pewnikiem doktor ją zadrapał tą łyżką, co to ją odwrotnym końcem dziecinie do gardła wtykał. Zaziębiona ma być, także coś! No może... ale kiedy się zaziębiła, tego na prawdę nie wiem, nie rozumiem nic a nic, ale to całkiem nic! Zawsze ją dobrze nakrywałam: toć przecie aż trzy kołderki ma... Albo może na ten czas, kiedy pani przyjechała przedostatnim razem, co to pani wszędzie w domu ciągiem okna otwierała!

MATKA. Powtarzam wam, mamko, że nie czynimy wam żadnych wymówek.

MAMKA. Tak. Już ja tam dobrze wiem, co takie gadanie znaczy... Można sobie być ze wsi...

MATKA. Co? Co wy sobie wyobrażacie?

MAMKA. Dobrze, dobrze... Można sobie być ze wsi...

MATKA. Powtarzam wam raz jeszcze, że wam niczego nie wymawiamy.

MAMKA (*idzie wciąż za swą myślą*). Jeśli ja się tego spodziewałam!... Nie, no także coś! (*ociera łzy*).

MATKA. Żadnych wymówek wam nie

robimy. Tylko chcemy was ostrzedz, że możecie zarazić się od dziecka jego chorobą.

MAMKA (*zadąsana*). Zakatarzyła się!... To cóż! jeśli ja kataru dostanę, to nie będzie pierwszy. Tylko nos będę ocierać!

MATKA. Możecie dostać ową wysypkę...

MAMKA. Ha, ha, ha! moja dobra pani, my ta nie jesteśmy ludźmi z miasta, nasza skóra nie taka czuła... No i cóż?... Wysypka, cóż to nam biedakom może zrobić? U nas to się nie miewa takiej bladej twarzy, niby paryżanki; a, nie! bo naród bardziej siedzi w polu, na słońcu i na deszczu, niżby sobie gębę maścią mazał... Z przeproszeniem wielmożnej pani... ale jeśli pani przyczepki szuka, to tak chyba nie dobrze będzie.

MATKA. Jakiej przyczepki? Co wy chcecie powiedzieć?

MAMKA. Juści tak jest.

MATKA. Mówcie więc.

MAMKA. Można sobie być ze wsi...

MATKA. Nie rozumiem... doprawdy nie rozumiem.

MAMKA. Ja tam już rozumiem...

MATKA. Więc wytłómaczcie się.

MAMKA. A kiedy ja nie chce gadać.

MATKA. Owszem. Trzeba, ja tego żądam.

MAMKA. Tedy rzeknę...

MATKA. A zatem...

MAMKA. Tedy rzeknę: można sobie być ze wsi, a nie potrzeba być głupszym od innych. Już ja ta wiem dla czego mnie się czepiają. Wielmożny pan na panią gniewał, że mi obiecała o trzydzieści franków więcej zasług, jeśli przyjadę do Paryża... (*zbliża się ku Jerzemu*) Czy to pan nie widzi? Czy pan nie wie? Czyż nie musiałam oddać mego dziecka do ludzi, aby przynajmniej mój mąż mógł się najeść do syta? Przecież my jesteśmy biedni wiejscy ludzie.

CHORY. Mylicie się mamko... to wszystko, co myślicie, nie jest prawdą. Ja mamie mojej tego nie wymawiam, nawet, wprost przeciwnie, mówię, że wam za mało obiecała. Ja wam coś innego proponuję. Kiedy dziecko na tyle dorosnie, że można je będzie odstawić i gdy wy będziecie odchodzić, na podziękowanie, damy wam...

MATKA (*obracając mamkę ku sobie*).

Damy wam, oprócz waszych zasług — rozumiecie — oprócz waszych zasług, damy wam pięćset franków... a może i tysiąc... Naturalnie, jeżeli mała będzie zupełnie zdrowa.

MAMKA (*zdumiona*). Państwo mi dadzą pięćset franków?... mnie... dla mnie... (*stara się zrozumieć*) ale... to... to... się nie tak umówiło... przecież państwo nie muszą...

MATKA. Nie.

MAMKA (*do siebie*). W tem coś jest, więc...

MATKA. Owszem. Ponieważ dziecko będzie potrzebowało troskliwej opieki... będziecie mieli więcej zachodów... trzeba jej będzie dawać lekarstwa... będziecie mieli trudniejsze i bardziej kłopotliwe zadanie...

MAMKA. Tak, więc... to tak niby dla pewności, że ją będę dobrze pielęgnować... państwo tak sobie myślą: «W ten sposób mamka będzie miała swój interes...» już rozumiem...

MATKA. A zatem, sprawa ubita?

MAMKA. Tak, wielmożna pani...

MATKA. Potem nie będziecie czynili

nam wymówek... umówiliśmy się... przestrzegaliśmy was, że dziecko jest chore i że możecie się odeń zarazić. Dlatego więc, z powodu większych wymagań dziecka, obiecujemy wam pięćset franków, które otrzymacie po odkarmieniu go. To wszystko...

MAMKA. Dobra pani przecie mówiła przedtem że tysiąc franków...

MATKA. Niechże będzie tysiąc franków.

CHORY (*przechodzi na prawą stronę za plecami obydwóch kobiet i ciągnie nieznacznie matkę ku sobie*). Szkoda, że nie można dać jej zaraz do podpisania. To wszystko na nic, jeśli...

MATKA (*do mamki*). Aby nie było nieporozumienia co do sumy... — widzicie... dla dokładności... już zapomniałam że umówiliśmy się na tysiąc franków... damy wam kwit... i wy też z waszej strony pokwitujecie nas...

MAMKA. To niby tak jak kiedy się najmuje (*wchodzi lekarz*).

MATKA. Otóż i pan doktor... no idźcie, mamko... już się zgodziliśmy...

MAMKA (*odchodzi. Przechodzi koło*

biurka na lewo a potem przesuwa się między oknem a biurkiem, wreszcie znika w drzwiach w głębi na lewo). Tak, wielmożna pani... *(do siebie)* Ja tam tego wszystkiego nie rozumiem... w tem coś jest... tysiąc franków... więc to jakaś złośliwa choroba u tej małej?... Pewno jakaś niedobra choroba! *(znika)*.

SCENA VI.

MATKA, LEKARZ, CHORY.

LEKARZ. Stan dziecięcia jest ciągle niezmienny i żadną miarą nie niepokojący. *(Siada na fotelu Jerzego, widocznie w celu napisania recepty)*.

MATKA. Panie doktorze, od tej chwili będzie pan mógł otoczyć swą opieką i dziecko i mamkę bez żadnych skrupułów. Podczas pańskiej nieobecności załatwiliśmy sprawę korzystnie. Mamkę powiadomiliśmy o prawdziwym stanie rzeczy, ona zgodziła się z faktem, oraz przyjmuje odszkodowanie, którego wysokość nawet

oznaczyliśmy w obopólnem porozumieniu.

LEKARZ. Proszę pani, choroba, której mamka prawie napewno się nabawi, karmiąc dziecko, pociągnąć może za sobą zbyt poważne skutki, a tak długotrwałe, że doprowadzić ją mogą do kalectwa, a nawet do śmierci, — jakimże więc sposobem jakiegokolwiek odszkodowanie wynagrodzi jej szkody, na które pani ją narazi?

MATKA. Ale ona się zgadza!

LEKARZ. Kobieta ta jeśli się zarazi, nie tylko uniemożliwi sobie na przyszłość wykonywanie swego zajęcia bez niebezpieczeństwa dla swych przyszłych wychowanków, ale oprócz tego, — powtarzam to pani, — nosić będzie zarodek złego, może nieznaczny, ale może tak poważny, że mimo wszystkie lekarstwa nasze, żyć będzie w ustawicznej grozie mąk, które istotą swoją i znaczeniem tragicznymi dla niej być mogą.

MATKA. Ależ, panie doktorze, skoro ona się zgadza!... Przecież ona jest panią swej woli... i ma chyba prawo...

LEKARZ. Nie wiem napewno, czy ona ma prawo sprzedawać własne zdrowie,

ale twierdzą stanowczo, że nie wolno jej sprzedawać zdrowia dzieci swoich i męża. Jest rzeczą niemal pewną, że zaraższy się, chorobę tę mężowi i dzieciom zaszczepi, a zaszczepiwszy, zdrowie i życie dotkniętych nią poważnie narazi. Tego wszystkiego sprzedawać jej nie wolno... No, chyba pani już widzi, że tego rodzaju układ jest niemożliwy. Jeśli nieszczęście jeszcze się nie stało, trzeba wszystko uczynić, by go uniknąć.

MATKA. Pan mówi: «Jeśli nieszczęście jeszcze się nie stało?» Czyż pan nie może mieć pewności?

LEKARZ. Nie, pani. Pomiedzy chwilą zarażenia a pierwszym objawem choroby upływa pięć do sześciu tygodni.

MATKA. Pan ciągle zajmuje się tylko tą mamką... o małej pan wcale nie myśli. My zaś mamy na względzie tylko i jedynie nasze dziecko... przecież nie możemy mu dać umrzeć.

CHORY. Nie możemy, panie doktorze.

LEKARZ. Ale nie wolno państwu narażać tej kobiety.

MATKA. Pan naszych interesów nie broni.

LEKARZ. Proszę pani, bronię sprawy słabszych.

MATKA. Gdybyśmy byli wezwali naszego lekarza domowego, który nas zna, to on byłby się za nami ujął.

LEKARZ. Wątpię pani. (*wstając*) Ale jeszcze w każdym razie można go zawołać.

CHORY. Mamo! Doktorze, błagam pana.

MATKA. Niech pan nas nie opuszcza... Musi pan wybaczyć... Gdyby pan wiedział, czem to dziecko jest dla mnie!... Mówię panu:—Czekałam na jego przyście na świat, by mój umrzeć... Proszę o litość dla nas i dla tego maleństwa... Pan wspominał o słabszych... Czyż ono nie jest najśłabsze?... Przecież pan je widział. Pan widział to małe ciało, takie drobne, to małe ognisko cierpień, które się już w niem zgromadziły. Czyż ono w panu nie budzi współczucia?.. Oh, proszę, proszę pana!...

CHORY. Błagam pana, doktorze!

LEKARZ. O tak! Mam litość dla tej dzieciny! Chciałbym ją uratować i wszystko w tym celu uczynię, ale proszę nie żądać abym słabowitemu dziecku, którego życie

jest niepewne i prawdopodobnie nieszczęśliwe, poświęcał zdrowie kobiety młodej, zdrowej i tęgiej. Nie! nie wszczępię świadomie i dobrowolnie choroby tej kobiecie, nie zatruję jej i jej męża istnienia, nie narażę życia jej dzieci, nie ukarzę jej w pełni młodości niemal pewną bezpłodnością...

MATKA (*półgłosem*). Oh! jeśli tylko o chłopa chodzi!... będzie ich zawsze dosyć.

LEKARZ. Co pani mówi?

MATKA (*do siebie*). Mówię, że jeśli ci mali się nie narodzą, to będzie tylko o kilku nieszczęśliwych mniej.

LEKARZ. Sądzę, że dalsza dyskusja między nami byłaby zupełnie bezpodstawną.

MATKA (*w uniesieniu*). A zatem, nie pójdę za pańską radą, nie będę pana słuchała.

LEKARZ. Jest tu już jeden człowiek między nami, który żałuje, że mnie nie posłuchał.

CHORY. Tak, na moje nieszczęście!..., na nieszczęście dla nas wszystkich!

MATKA (*coraz więcej unosząc się*). Do-

brze więc... jeśli to jest błędem, jeśli to jest zbrodnią, jeśli mam przez całe życie znosić wyrzuty sumienia, a po śmierci męczarnie — nawet wtedy: zgadzam się na to! Biorę odpowiedzialność na siebie samą!... Odpowiedzialność ta jest straszliwie ciężka, wiem... Przyjmuję ją, mimo wszystko! Jestem chrześcijanką głęboko wierzącą, wierzę w inęki wieczne... Dla uratowania mej wnuczki zgadzam się na wieczne potępienie! Tak! bez wahania!... Wszystko uczynię dla uratowania tego życia. — Bóg mnie osądzi!... Tem gorzej dla mnie, jeśli mnie potępi!

LEKARZ. Nie pozwolę pani wziąć na siebie tej odpowiedzialności, bo musiałbym wówczas i ja część jej dźwigać — a tego stanowczo odmawiam.

MATKA. Cóż pan uczyni?

LEKARZ. Uprzedzę mamkę. Pouczę ją dokładnie, zupełnie — czego pani nie uczyniła. Muszę to zrobić!

MATKA. Jakto, pan? P'an, lekarz! Przywołany do rodziny, która go obdarza całym zaufaniem, która zwierza się przed nim z najstraszliwszych tajemnic, z naj-

okropniejszych swych nędz, — pan by zdradził.....

LEKARZ. Jeśli to jest zdrada, pani,—to prawo mi ją nakazuje...

MATKA. Zdawało mi się, że prawo nakazuje panu zachowanie tajemnicy.

LEKARZ (*przez chwilę szukał w księdze wyroków sądowych*). Nie w tym wypadku... i oto jest wyrok, który, jak przeczuwałem, będę musiał państwu przeczytać: (*czyta*).

«Lekarza, który świadomie nie powiadomił mamki o niebezpieczeństwie, na które ją naraża karmienie dziecka, dotkniętego przymiotem dziedzicznym, — można uznać odpowiedzialnym za szkody spowodowane jego biernością.» — Otóż widzi pani, że wszystko przeciw niej się zwraca: sumienie i prawo... A nawet gdyby prawo milczało, nie pozwoliłbym uczciwej rodzinie na błąd równy zbrodni. Dlatego albo stąd się wycofam, albo państwo każecie odstawić dziecko, albo będę mówił z mamką.

MATKA. Groźby... groźby teraz!... Pan nadużywa mocy, którą mu dała jego wiedza... Pan wie, że my pana właśnie

chcemy mieć przy kolebce tego dziecka... i pan grozi, że nas opuści!... A to jest może równoznacznem ze śmiercią dziecka. Jeśli pana usłucham, jeśli odstawimy je... to znów... śmierć... (*w zupełnem zapomnieniu*) Więc niema środka... Ah! dlaczegoż, Boże mój, dlaczego nie pozwolisz, by ofiara mojej osoby była możliwą!... Chciałbym siebie oddać... chciałabym by zabrano moje stare resztki, moje stare ciało, moje stare kości, ...abym się na coś przydać mogła... Oh!... jakbym się chętnie rzuciła na pastwę tej okropnej choroby, jakbym się jej oddała w ofierze, z jaką radością, z jaką rozkoszą!... mimo jej okropność, mimo że jest tak obrzydliwą, tak przerażającą!... Tak! O jakżebym chciała wchłonąć ją w siebie bez strachu, bez żalu, gdyby biedne, puste stare piersi moje mogły dać jeszcze tej dziecinie ten pokarm, któryby zachował jej życie.

CHORY (*rzuca się w ramiona matki przy pierwszych jej słowach, przy ostatnich szlochaniu jego przechodzi w krzyk*). Mamo!... Mamo! uspokój się! Mamo, mamo! (*oboje płaczą*).

LEKARZ (*wzruszony*). Biedni ludzie!...

MATKA (*siada na krześle, na którym siedziała małżonka na początku tej odśłony. Potem mówi z rezygnacją*).
Więc... panie, proszę nam powiedzieć, co czynić należy?

LEKARZ. Trzeba zaprzestać karmienia piersią, a mamkę tu zatrzymać jako niańkę, aby nie roznosiła dalej choroby. Proszę nie przesadzać niebezpieczeństw, które stąd dla dziecka wynikną. Zresztą i ja jestem nad wyraz wzruszony bólem państwa, i przysięgam, że wszystko uczynię, by dziecinka odzyskała w możliwie najkrótszym czasie, jak najzupełniejsze zdrowie. Spodziewam się, że to mi się uda, a tymczasem do widzenia.

CHORY i MATKA. Dzięki, doktorze, dzięki! (*Matka zostaje na krześle. Jerzy odprowadza lekarza, który mu dłoń ściska*).

SCENA VII.

CHORY, MATKA.

CHORY (*zbliża się do matki i chce ją ucałować*). Mamo!

MATKA (*stanowczo, ale nie gwałtownie*)
Odejdź!

CHORY (*oddalwszy się*). Czyż nie jesteśmy dość nieszczęśliwi! Mamyż jeszcze nienawidzić się?!...

MATKA. Bóg karze cię za twą rozpustę na dziecku twojem!

CHORY (*wzruszając ramionami; boleśnie*). Ty myślisz... Niema nawet człowieka tak złego i niesprawiedliwego, któryby mógł popełnić czyn, jaki ty Bogu przypisujesz.

MATKA. Oh! ja wiem... ty w nic nie wierzysz!

CHORY. W takiego Boga nie wierzę! (*W drzwiach ukazuje się mamka, która weszła z lewej strony, wkrótce po wyjściu lekarza*).

SCENA VIII.

MATKA, CHORY, MAMKA.

MAMKA. Poszę wielmożnej pani, — ja się już namyśliłam... wolę wrócić zaraz do domu i tylko dostać te 500 franków.

MATKA. Co wy mówicie? Chcecie wrócić w wasze strony?

MAMKA. Tak, pani.

CHORY. Nie myśleliście tak temu dziesięć minut.

MATKA. Cóż się stało w ciągu tego tak krótkiego czasu?

MAMKA. Namysliłam się.

MATKA. Nad czym?

MAMKA. Tęskno mi za moim i za małym.

CHORY. Od dziesięciu minut?... Jest jakiś inny powód.

MATKA. Oczywiście, że jest.

MAMKA. Nie, pani.

MATKA. Owszem.

MAMKA. No,... to ja się boję, że tu w Paryżu powietrze mi zaszkodzi.

MATKA. Poczekajcie, aż się o tem przekonacie.

MAMKA. Wolę wrócić od razu do domu.

MATKA. Ale dlaczego? Powiedzcież w końcu.

MAMKA. To też powiadam. Namysliłam się.

MATKA. Nad czym?

MAMKA. Namysliłam się.

MATKA. A cóż za drewniana głowa!... Namysliłam się... namysliłam się... Nad czym, pytam was?

MAMKA. Ja też mówię: nad wszystkim.

MATKA. Nie potraficie powiedzieć nam, nad czem?

MAMKA. Powiadam pani... nad wszystkim!

MATKA. Otóż—głupia z was osoba.

CHORY (*stając przed matką*). Pozwól mi z nią pomówić.

MAMKA. Wiem ja tam dobrze, żeśmy prości ludzie ze wsi, ale...

CHORY. Posłuchajcie mnie, mamko... Przed chwilą obawialiście się, byśmy was nie odesłali, byliście zadowoleni z zasług, które wam moja matka naznaczyła. Oprócz tych zasług obiecaliśmy wam większą sumę w dzień powrotu... teraz mówicie, że chcecie odjechać... Tak, tu, zaraz nagle?... Musi być powód... no, powiedzcie!.. musicie mieć powód... Czy wam kto krzywdę wyrządził?

MAMKA. Nie, wielmożny panie.

CHORY. A więc?

MAMKA. Namysłilałam się.

CHORY (*zniecierpliwiony*). Ależ nie powtarzajcie ciągle tego samego! Namysłilałam się... To nic nie znaczy... (*łagodnie*)

Proszę was, powiedzcie, czemu chcecie odejść... (*milczenie*) Co?

MAMKA. Mówię panu...

CHORY. Zupełnie, jak gdyby się mówiło do kłoca!

MATKA (*zbliży się ku przodowi sceny*). Naprzód nie macie prawa odejść!

MAMKA. Ja chcę odejść.

MATKA. Nie pozwolę wam odjechać...

CHORY. Eh! daj jej odjechać, ostatecznie... Nie możemy jej tu przywiązać... (*do mamki*) Otóż, skoro chcecie odjechać—odjedziecie. Tylko wolno mi wam oznajmić, że jesteście tak głupią, jak wasze bydełko.

MAMKA. Nie mówię, że nie.

CHORY. I nie zapłacę wam za rozpoczęty miesiąc..., i sama zapłacicie podróż koleją.

MAMKA. To, zobaczymy!...

CHORY. Tak, zobaczycie. I zobaczycie nawet zaraz. Proszę odejść, nie zatrzymuję was. Idźcie sobie!...

MATKA. Nie unosz się, Jerzy! (*do mamki*). Wy chyba nie na serjo mówicie, mamko, co? Odpowiedzcie.

MAMKA. Już ja tam wolę powrócić do

domu odrazu i dostać tylko moje 500 franków.

CHORY. Co?

MATKA. Co wy tu opowiadacie?

CHORY. Pięćset franków?

MATKA. Jakich 500 franków?

MAMKA. Te, które mi państwo obieca-
liście!

CHORY. Myśmy wam obiecali 500 fran-
ków, my?

MAMKA. Tak.

MATKA. Gdy dziecko będzie odstawio-
ne, i jeśli będziemy z was zadowoleni:—
dopiero wówczas!

MAMKA. Nie, państwo powiedzieli, że
wtenczas kiedy będę odjeżdżać. Więc ja-
dę—potrzeba mi ich.

MATKA. Naprzód proszę mówić do
mnie innym tonem. Rozumiecie mnie?

MAMKA. Niech no pani da mi moje
pieniądze—a nic gadać nie będę.

CHORY. Co?... To już tak? A nie! — Za
drzwi was wyrzucę! W ten sposób,
odrazu wszystko będzie skończone.

MATKA. Naturalnie.

CHORY. Za drzwi!

MAMKA. Proszę mi dać wprzód moje 500 franków.

CHORY (*wskazując jej drzwi prawą ręką*). Wynosić mi się natychmiast, ale to jak najprędzej jeszcze, rozumiecie?!

MAMKA. No, no, panie, ...możnaby grzeczniej mówić do mnie, co?

CHORY. Wynoście mi się! Chcecie się wynosić, co?... Czy mam posłać po policjantów?

MAMKA. Po policjantów?... A po co?

CHORY. Aby cię za drzwi wyrzucili, ladaco jakieś...

MAMKA. Ladaco, ...co? ladaco? A wie pan, że można być sobie ze wsi, a nie być od nich gorszym, a jeśli jestem głupia...

MATKA. Tak... głupia... głupia jak cię... ale nie tylko to...

MAMKA. Jeśli się jest głupią, to się przynajmniej nie jest...

MATKA. Nie macie nawet tyle serca, co kamień... Jesteście złą kobietą.

CHORY. Postępujesz jak złodziejka!

MAMKA. Złodziejka... Ja... a dlaczego?

CHORY. Bo dopominasz się o pieniądze, które do ciebie nie należą...

MATKA. Bo opuszczacie to biedne dziecko... Zła z was kobieta!

CHORY. I ja cię za drzwi wyrzucę, ja! (*Chwyta ją za ramię*).

MAMKA. A! więc to tak!... Państwo chcą, bym im powiedziała, dlaczego odchodzę?

CHORY. Tak, powiedz!

MATKA. Powiedzcież więc! (*w tej chwili wchodzi Henrjetta, ale nikt jej nie spostrzega*).

MAMKA. Owóż, odchodzę stąd, bo nie mam ochoty zarazić się tu jakąś obrzydliwą chorobą.

MATKA. Milczcie!

CHORY. Milcz!

MAMKA. Oh, ho, ho... państwo nie mają się co bać, by się ktoś nie dowiedział: i tak wszyscy wiedzą. Jan słyszał pode drzwiami, co doktor mówił... Wszystko mi wygadał... Otóż jaka ja głupia!... Ale, nie taka znów głupia! Chcę moich pieniędzy. I chcę odejść!

CHORY. Milcz!

MATKA (*chwytając ją za ramię*). Mówię wam, macie milczeć!

MAMKA. Proszę mię puścić! Ja tu nie zo-

stanę! Powiedzieli mi, że waszego bębna się nie wychowa, bo zgniły jest, bo jego ojciec ma obrzydliwe choróbsko, takie, jakie mają sprośne dziewczki z ulicy.

(W tej chwili słycać dwa przejmujące krzyki Henrjetty, która pada w spazmach nerwowych).

CHORY. Boże mój! (*biegnie ku niej*).

MAŁŻONKA (*wyrywa mu się, zesztwniała ze wstrętu, nienawiści i okropnego strachu; potem jak obłąkana wyrzuca wyrazy*). Proszę się mnie nie dotykać! Proszę mnie nie dotykać!...

(*Zastona spada*).

Akt III.

Gabinet prywatny lekarza w szpitalu, w którym jest on kierującym doktorem.

SCENA I.

(Gdy podnoszą zasłonę wchodzi lekarz i jego uczeń w stroju szpitalnym. Lekarz zdejmując fartuch, mówiąc):

LEKARZ. Proszę mi powiedzieć, kochany panie, czy to nie na pana czeka ten pan, którego spotkaliśmy w korytarzu?

UCZEŃ. Nie, nie na mnie.

LEKARZ. Więc to jest ten mój deputowany... Czy pan zna to nazwisko?... Cóż ja zrobiłem z jego biletem? (*szuka na biurku*) Oto jest... (*czyta*) «Loches, poseł z departamentu Sarty».

UCZEŃ. To ten sławny Loches.

LEKARZ. A, prawda! poseł z departamentu Sarty... Ten gwałtowny mówca —
wszak się nie mylę?...
Im. A. Mickiewicza w Przemysłu.

UCZEŃ. Gwałtowny i wymowny.

LEKARZ. Takiego człowieka właśnie byłoby nam potrzeba!... On się bardzo zajmuje sprawami społecznymi.

UCZEŃ. Tak, bardzo.

LEKARZ. Przypuszczam, że on chce się zaopatrzyć w dokumenty i poruszyć członków Izby na korzyść projektów ustawy, o której uchwalenie prosimy od tak dawna. Oto co on mi pisze:... «Loches, poseł z departamentu Sarty,—prosi o przyjęcie wyrazów szacunku... i t. d. oraz zapewnia o swej wdzięczności, za łaskawe przyjęcie go jutro, w niedzielę. Nie chodzi o poradę lekarską».

UCZEŃ. W istocie, bardzo jest możliwym, że on się tą sprawą zajmuje.

LEKARZ. Dla niego to posłałem po tego chorego z sali św. Karola, oraz po numer 28-my... Mając raz w ręku posła, wzbogacę go dowodami, może pan być pewnym.

UCZEŃ. Czy pan już mnie nie potrzebuje?

LEKARZ. Nie, kochany panie. Do zobaczenia.

UCZEŃ. Do widzenia, drogi mistrzu.
(*kieruje się ku drzwiom*).

LEKARZ. Więc może pan raczy polecić,
by pana Loches do mnie wpuszczono?
Proszę pana o zrobienie mi tej przysługi.
Do zobaczenia (*uczeń wychodzi; wchodzi
deputowany*).

SCENA II

LEKARZ, TEŚĆ.

TEŚĆ (*po ukłonach i zaproszeniach, by
usiadł*). Dziękuję panu za uprzejme
przyjęcie mnie po za pańskimi godzina-
my porad. Przyczyna, dla której do Pana
przychodzę jest niezmiernie bolesna. Je-
stem teściem p. Jerzego Dupont. Córka
moja, dowiedziawszy się o przerażają-
cych odkryciach, powróciła do mnie
wraz z dzieckiem, a teraz przyszedłem
pana prosić, aby raczył tem dzieckiem
się zająć—ale u mnie, w moim domu!

LEKARZ. Owszem, proszę pana.

TEŚĆ. Dziękuję... Teraz zaś chcę z pa-

nem pomówić o nędzniku, który jest powodem wszystkich tych nieszczęść.

LEKARZ (*bardzo łagodnie*). Wybacz pan, ale nie mogę z panem o tem mówić. Ta sprawa leży zupełnie po za medycyną i nie wchodzi wcale w zakres mej działalności.

TEŚĆ (*przytłumionym głosem*). Przepraszam pana,—i sądzę, że i pan, wysłuchawszy mnie, podzieli zdanie moje. Nie wyjawię panu planów zemsty, które wczoraj ułożyłem, gdy biedna córka moja przyjechała do mnie z dzieckiem na rękach, — zwłaszcza teraz gdy pan wie wszystko. Proszę mi darować, że mówię do pana w takim rozgorączkowaniu,—ale ja z trudnością ledwie powstrzymuję gniew i oburzenie, które mnie duszą. Obiecałem sobie, że mówić będę panu o tem spokojnie, ale skoro tylko myśl moja zatrzyma się na osobie tego człowieka, którego hańba na nas spada, w nas ugodziła tak brutalnym, tak podłym ciosem, we mnie i w mą rodzinę... tracę panowanie nad sobą, trzęsę się ze zdenerwowania... To jest ohydne!... Moja córka!... W dwudziestu dwóch latach! do-

ktorze... w dwudziestym drugim roku życia!...

(Milczenie).

LEKARZ. Pojmuję i szanuję boleść pańską, ale niech mi pan wierzy, że w tym stanie, w którym się pan znajduje, niczego postanawiać nie można...

TEŚĆ *(już spokojniej)*. Owszem. Będę panował nad sobą i głęboko namyślałem się przez noc całą. Odrzuciwszy ostatecznie zamiar, o którym panu wspomniałem, postanowiłem wraz z córką moją starać się o jak najszybsze przeprowadzenie rozwodu. Przychodzę więc do pana z prośbą o wydanie mi świadectwa, które będzie głównym podkładem naszego postępowania sądowego.

LEKARZ. Jakiego świadectwa?

TEŚĆ. Stwierdzającego istotę choroby, którą ten człowiek jest dotknięty.

LEKARZ. Najmocniej żałuję, panie, ale ja tego świadectwa wydać nie mogę.

TEŚĆ. Dlaczego?

LEKARZ. Zasada tajemnicy zawodowej zabrania mi to uczynić...

TEŚĆ. Niemożliwem jest, by to był obowiązek pański: ujmować się za zbro-

dniarzem przeciw jego ofiarom, któremi są uczciwi ludzie.

LEKARZ. Aby uniknąć wszelkiej dyskusji, dodam jedno jeszcze, a mianowicie, że odmówiłbym życzeniu pana nawet, gdybym był zupełnie niezależnym w tej mierze.

TEŚĆ. Ponieważ?...

LEKARZ. Ponieważ musiałbym sobie zawsze wymawiać, że mam panu do otrzymania tego rozvodu dopomóc.

TEŚĆ. Więc córka moja ma przez całe życie nosić nazwisko tego człowieka, dlatego, że pan takie lub inne teorie wyznaje,... dlatego że spełnianie obowiązków zawodowych, zmuszając go do ustawicznej roli świadka podobnych nędz, uczyniło go nieczułym i sceptykiem?!...

LEKARZ. Opieram się temu jedynie ze względu na dobro pańskiej córki.

TEŚĆ. Dziwne objawy troski o dobro czyjeś!...

LEKARZ (*bardzo łagodnie*). Sądząc po pańskim uniesieniu, przypuszczam, że pan mnie zelży przed upływem pięciu minut. Ale to nie odebrałoby mi zimnej krwi, widziałem już inne rzeczy... Pan

musi zrozumieć, czemu ja odmówiłem mu mego współdziałania. Skoro jednak wciągnięto mnie w tę sprawę, — winienem panu wytłómaczyć powody mego postępowania. Pan żąda ode mnie świadectwa, by dowieść przed trybunałem, że zięć pański cierpi na syfilis?

TEŚĆ. Tak.

LEKARZ. O jednym pan zapomina, ... o tem, że tym sposobem przyzna pan publicznie, że córka jego była narażona na zarażenie się... Czyż pan myśli, że po takim zeznaniu, wciągniętem z urzędu w akta obrońców, córka pańska będzie mogła łatwiej wyjść za mąż?

TEŚĆ. Nigdy powtórnie nie wyjdzie za mąż.

LEKARZ. Dziś to mówi. Ale czy pan może zapewnić, że tak samo za pięć lub dziesięć lat mówić będzie... Zresztą, państwo tego rozwodu nie otrzymacie, skoro odmawiam panu wydania świadectwa niezbędnego w postępowaniu dowodowym.

TEŚĆ. Znajdę inne sposoby na przeprowadzenie tego dowodu. Polecę innemu doktorowi zbadać dziecko.

LEKARZ. Sądzi pan zatem, że ta biedna dziecinka już w zaraniu swego istnienia nie dość jeszcze została skrzywdzoną? Czyż nie dość, że nosi znamię choroby, czyż pan chce dodać do tego jeszcze na resztę jej życia świadectwo dziedzicznego przymiotu?

TEŚĆ. A więc kara spadnie na ofiary szukające obrony! Więc prawo nie daje mi żadnej broni przeciw temu, który, znając swój stan, wziął dziewczynę młodą i zdrową, niewinną i pełną ufności, skalał ją skutkami swej rozpusty i uczynił ją matką biednej, małej istoty, której przyszłość jest tak nieszczęśliwą, że ci, co ją kochają najwięcej, nie wiedzą, czy modlić się o jej życie, czy o śmierć natychmiastową! Ten człowiek rzucił na tę, którą pojął za żonę najcięższą obelgę, wykonał na nią zamach najhaniebniejszy!... Skalał ją!!... Zmusił ją, że się tak wyrażę, do zetknięcia się z ulicznicami, których znamię na nią przeniósł. Niby węzłem tajemniczego pokrewieństwa połączył ją z tą kobietą, która jest własnością wszystkich. To krew zatruta tej prostytutki, zatrzuwa dzisiaj dziecko i ją

samą! A to ohydne stworzenie żyje wśród nas, w rodzinie naszej, on ją posadził przy naszym ognisku domowym! Zawalał wyobraźnię i myśl mojej biednej córki, podobnie jak jej ciało, i raz na zawsze w jej umyśle związał najszczytniejsze dla niej pojęcie miłości z niewypowiedzianą ohydą wsřętu! Znieważył jej godnořć, i jej wstyd, i jej miłość, i jej dziecko, rzucił ją na pastwę upadku fizycznego i moralnego, zatopił ją w brudach kałuży! — A prawo i obyczaje zakazują tej kobiecie rozłączyć się z tym człowiekiem, zostawiając jej jako jedyne wyjście, proces, który ciężkiem brzemieniem skandalu spadnie na nią i jej dziecię! Otóż ja z prośbą nie zwrócę się do kodeksów! Od wczoraj pytam siebie samego, czy nie jest moim obowiązkiem pójsć do tego potwora i kulę w łeb mu posłać, zastrzelić go jak psa wściekłego! I nie wiem, co mnie wstrzymało, dlaczego się zwróciłem ku ustawom, jaka słabość mnie do tego skłoniła, jaka podłość... ..bo chyba inaczej tych pobudek nazwać nie mogę... ale skoro ustawy bronić mnie nie chcą, sam sobie

sprawiedliwość wymierzę! Śmierć jego będzie może dobrą przestrogą dla drugich.

LEKARZ (*odkładając kapelusz*). I postawią pana przed sądem przysięgłych.

TEŚĆ. Którzy mnie uniewinnią.

LEKARZ. Tak! Ale dopiero odstłoniwszy przed publicznością całą nędzę pańską. I tylko skandal będzie głośniejszy, nieszczęście cięższe. A któż panu zaręcza, że przed panem nazajutrz po jego uwolnieniu nie zjawi się nagle postać innego sędziego, pełniejszego powagi i surowości!? A któż pana zapewnił, że córka jego nie zrozumie kiedyś, że pan dla jej niedoli ostatni środek ratunku wydarł, że nie poczuje litości dla tego, którego pan zabił, że nie rzuci panu pełnego grozy pytania, jakim prawem pan to uczynił, jakim prawem pan ją osierocił, ją, której także przecież kiedyś będzie wolno zażądać rachunków!

TEŚĆ (*zaczął mówić zanim doktor skończył*). Wię cóż mam czynić?

LEKARZ (*bez namysłu*). Przebaczyć. (*milczenie*).

TEŚĆ (*wyczerpany*). Nigdy.

LEKARZ. Ale ostatecznie, aby być tak

niewzruszonym musiałby pan mieć pewność, że w danej chwili uratowanie jego córki przed podobnem nieszczęściem nie zależało od niego.

TEŚĆ. Odemnie! odemnie miało zależeć!... na mnie miałoby ciążyć odpowiedzialność...

LEKARZ. Tak panie! Gdy była mowa o tem małżeństwie pan z pewnością dowiadywał się o stosunki materialne swego zięcia; żądał pan stwierdzenia, że majątek jego umieszczony jest w dobrych papierach, notowanych na giełdzie, starał się pan również o wskazówki dotyczące jego moralności; zapomniał pan tylko o jednej i to najważniejszej rzeczy, o zapytaniu go, czy jest zdrow. Tego pan nie uczynił.

TEŚĆ. Nie.

LEKARZ. Dlaczego?

TEŚĆ. Bo to nie we zwyczaju.

LEKARZ. Otóż to właśnie powinno wejść w zwyczaj, aby ojciec rodziny, zanim córkę swą mężczyźnie odda, przedsięwziął przynajmniej tyle środków ostrożności, ile ich przedsięwzięcie zarządza-

jący biurem, kiedy przyjmuje nowego urzędnika.

TEŚĆ. Ma pan słuszność, powinna być ustawa...

LEKARZ. Nie, panie! Nie uchwalajcie nowych ustaw, mamy ich już za wiele. Nie potrzeba ich więcej. Wystarczyłoby, gdyby ludzie lepiej wiedzieli, czym jest syfilis. Wówczas utrwaliłby się rychło zwyczaj, by narzeczony do wszystkich papierów, których odeń wymagają, dołączał świadectwo lekarskie, jako dowód, że nie potrzebuje poddawać się kwarantannie, i że można go zaliczyć do rodziny bez obawy, że wniesie z sobą zarazę. To byłoby zupełnie proste. Gdyby ten zwyczaj się przyjął, narzeczony, przed przestąpieniem progu urzędu cywilnego, wstępowałby do lekarza po biuletyn zdrowia, podobnie jak dziś idzie po świadectwo spowiedzi, zanim wejdzie do kościoła. Wówczas zapobieglibyście wielu nieszczęściom... Dzisiaj, zanim małżeństwo się skojarzy, wzywają notarjuszów obu rodzin. Byłoby co najmniej równie korzystnem zgromadzić lekarzy domowych. Widzi pan tedy, że jego ankieta,

dotycząca przyszłego zięcia była niewystarczająca. A córka pańska mogłaby zapytać ojca, czemu on, mężczyzna, on, ojciec, który powinien znać się na tych sprawach, troszczył się mniej o jej zdrowie, niż o jej majątek. Powtarzam panu: trzeba przebaczyć.

TEŚĆ. Nigdy.

LEKARZ. Niech pan mnie posłucha... użyję ostatniego argumentu, skoro go użyć trzeba. Czy pan, będąc tak surowym i tak bezlitosnym, jest sam bez grzechu?

TEŚĆ. Ja nie miałem żadnej hańbiącej choroby.

LEKARZ. O to pana nie pytam. Zapytuję raczej, czy pan się nigdy nie naraził na możliwość zarażenia się. Co? Naraził się pan!... A więc czem że to było, cnota?... nie—szczęściem. I co właśnie najbardziej mnie gniewa, to ta nazwa «hańbiącej choroby», której pan przed chwilą użył. Ta choroba podobnie jak wszystkie inne jest jedną z wielu nędz ludzkich — a nieszczęście nigdy wstydu nie przynosi, —nawet jeśli się nań zasłużyło. (*Zapalając się*). Niechże mnie pan posłu-

cha... trzeba się porozumieć! Chciałbym doprawdy wiedzieć, ilu jest takich między owymi ludźmi najsurowszymi, między tymi, którzy z wstydlivością angielskiego mieszczucha, nie śmia wymówić nazwy «syfilis», albo przybierają wyraz przerażenia lub obrzydzenia, gdy o tej chorobie mówią, między tymi, którzy obchodzą się z syfilitykami jak z winnymi zbrodni,—chciałbym wiedzieć, ilu między nimi nie narażało się nigdy na podobną katastrofę; ilu z nich obcowało płciowo tylko z dziewczycami. Bo ci tylko, tylko ci, mają tu prawo głosu. Iluż ich jest. Na tysiąc mężczyzn, znajdzie się li czterech?—Więc, pominawszy tych czterech, między wszystkimi innymi a syfilitykami zachodzi tylko różnica przypadkowości... (*Jednym tchem*) A oprócz tego sympatja powinna się zwracać do tych, którzy cierpią, a którzy, jeśli zgrzeszyli, mają przynajmniej zasługę pokuty. (*spokojniej*). Nie, proszę mi raz dać wreszcie spokój z tą hypokryzją!... Zięć pański podobnie jak pan, podobnie jak olbrzymia większość mężczyzn miał kochanki przed ożenieniem się. Miał nie-

szczęście zarażenia się przymiotem, żeniąc się, myślał że nie jest już niebezpiecznym, w istocie jednak jeszcze nim był. To jest nieszczęście, nieszczęście, które musimy naprawić, o ile możemy, ale do którego nowych nieszczęść dodawać nie trzeba... Jesteś pan mężczyzną, przypomnij pan sobie swoją młodość. Na to, co dotknęło pańskiego zięcia, pan tak samo jak on zasłużył albo nawet i więcej od niego. Niechże pan ma dla niego współczucie, które powinien mieć grzesznik, który uszedł kary, dla tego drugiego mniej szczęśliwego, którego pokuta przygniotła!—Cóż?

TEŚĆ. Ma pan dziwny sposób przedstawiania rzeczy...

LEKARZ. Czy nie mam słuszności?

TEŚĆ. Być może. Jednakowoż nie mogę tego chyba powtórzyć córce, by skłonić ją do powrócenia do męża.

LEKARZ. Będzie się pan starał inaczej ją przekonać.

TEŚĆ. Boże dobry, w jaki sposób?

LEKARZ. W jaki sposób? Sposobów nie brak. Powie jej pan, że rozłączenie z mężem będzie nieszczęściem dla całej

rodziny, że w mężu jedynie znajdzie dość poświęcenia, potrzebnego dla uratowania dziecka. Powie jej pan, że na tych zwaliskach pierwszego jej szczęścia wybudować sobie może gmach nowy, pozazdrosczenia godzien. Żaden związek w przyszłości nie oprze się na pewniejszej rękojmi stałości, szczerości i trwałości. Nie pamiętam, czyje to są słowa: «Żałujący grzesznicy są najlepszymi mężami.» I to jest prawdą. Bo proszę tylko pomyśleć, ile przebaczenia zięć pański będzie musiał sobie wyjednać, jak wielką jest jego boleść, jak wielki szacunek, wdzięczność i podziw mieć będzie dla żony, jeśli ona zechce zapomnieć... To wszystko powtórzy pan swojej córce, do słów tych doda pan wszystko, co mu podyktuje serce uczciwego człowieka, my zaś postaramy się, by następne dziecko pojednanej pary było tęgie i zdrowe.

TEŚĆ. Czyż to doprawdy możliwe?

LEKARZ. O tak, po stokroć, po tysiąc razy: tak! — Niech pan posłucha zdania, które powtarzam przy każdej sposobności, a które chciałbym rozgłosić afiszami na murach: «Przymiot jest potężną siłą

która nie chce by zapoznawano jej potęgę. Straszna jest dla tych, którzy ją uważają za nic nie znaczącą, łaskawszą zaś dla tych, którzy wiedząc, jak jest niebezpieczną, nie zaniedbują jej i nie lekceważą jej, lecz usiłują ją wyleczyć»... To powie pan również swojej córce i rzuci ją pan w ramiona męża, którego już obecnie pod żadnym względem obawiać się nie potrzebuje, a może od dziś za dwa lata będzie pan znów szczęśliwym dziadkiem.

TEŚĆ. Wzruszył mnie pan, doktorze. Obudził pan we mnie obawy przed zapoznaną odpowiedzialnością, a do serca wpuścił mi pan uczucie litości i nadziei. Nie wiem, czy potrafię zdobyć się na zapomnienie, ale obiecuję panu, że nie popełnię żadnego czynu, którego nie można by naprawić,—oraz, że się nie sprzeciwie pojednaniu córki mojej z mężem, jeśli ta po pewnym czasie, nie dającym się bliżej określić, zgodzi się na przebaczenie mu.

LEKARZ. Bogu dzięki! Ale jeśli pan ma drugą córkę, niechże się pan strzeże błędu, popełnionego przy małżeństwie pierwszej.

TEŚĆ. Czyż ja wiedziałam?

LEKARZ. Masz tobie! pan nie wiedział! Pan jest ojcem—i nie wiedział?! Pan jest posłem, przyjął na siebie ciężką i zaszczytną odpowiedzialność budowania ustaw — i pan nie wie?! — Pan nie wie, czym jest przymiot, tak samo, jak pan zapewne nie zna istoty alkoholizmu i suchot?

TEŚĆ. Ależ...

LEKARZ. Dobrze, dobrze. Pomijam pana. Mówię o innych, o tych pięciuset, czy, nie wiem ilu, którzy tam siedzą w izbie, zwiąc się, «Przedstawicielami narodu!» Wszakżeż oni nigdy nie znaleźli czasu na pomówienie o tych bogach złowrogich, którym samolubstwo i obojętność składają codzienne, straszne, przerażające ofiary w ludziach! Nie znajdują wolnej chwili na zwalczanie tej drapieżnej trójcy, która dzień w dzień pożera tysiące istnień!

Alkoholizm! Trzeba zabronić fabrykacji trucizn, zmniejszyć liczbę kupców detalicznych. Ale ponieważ bogaci i potężni destylatorzy wzbudzają obawę, nie mniej niż zajmujący się drobną sprzeda-

żą, którzy są panami powszechnego głosowania, — więc posłowie usypiają swe sumienia, rozwodząc się żałością nad niemoralnością świata robotniczego, wygłaszając kazania lub ogłaszając małe broszurki!... Obłudnicy!... A tuberkuloza! Wiadomo przecie, że prawdziwem lekarstwem na nią byłaby dostateczna płaca i zburzenie niezdrowych mieszkań, w których gniją się ci, którzy pracują, a którzy są zarazem najpożyteczniejsi i najniezwyklejsi. Ale tego lekarstwa nie chce się uznać, do kroćset! Więc prosi się robotników, by nie pluli na podłogę. To jest zaiste podziwu godne!... Czemuż nie zajmujecie się syfilisem? Czemuż, stworzywszy ministerja, przeznaczone do obrony wszystkich spraw możliwych, nie stworzycie raz wreszcie ministerstwa dla obrony zdrowia publicznego!?!...

TEŚĆ. Kochany doktorze, popada pan w zasadniczy błąd Francuzów, polegający na uważaniu rządu za istotę winną wszystkich nieszczęść. Wy to, panowie uczeni, wskażcie nam drogę, a skoro chodzi o sprawy, na których się znacie,

a które dla nas są obce, zacznijcież od wytknięcia nam środków, które uznajecie za potrzebne...

LEKARZ. Ale to dobra rada... Piętnaście lat upływa, odkąd taki właśnie projekt, wypracowany przez Akademię medyczną i przez nią jednomyślnie uchwalony, — odesłany został do odpowiedniego ministerstwa. Niczego więcej o nim dotąd nie słyszano.

TEŚĆ. Czy pan myśli, że w istocie istnieją środki...

LEKARZ. Sam je panu wskażę. Oto co się stało. Wczoraj odbierając pański bilet i dowiadując się zeń, jaki pan szczebel zajmuje w drabinie społecznej, — sądziłem, że pan się chce zaopatrzyć w materiały. To też naznaczywszy tu panu godzinę spotkania, zatrzymałem dwie osoby, które panu chciałem pokazać. Oszczędzę pańskie nerwy, żadna z osób, które panu pokażę, nie ma widocznych znamion. To nie są nasi ciężko chorzy, ale po prostu ludzie uszkodzeni. Nie chcę mieć przed panem wykładu o patologji, chcę panu jedynie dopomódz w działaniu. Powiedziałem sobie wczoraj: «Wresz-

cie znaleźliśmy gościa, który zajmie się sprawą nam drogą.» — Omyliłem się. Przyszedł pan w innym celu. Tem gorzej. — Trzymam pana i nie puszczę.

Proszę obecnie wzbić się ponad poziom osobistego nieszczęścia pańskiego, myśleć o rzeczach ogólnych, oraz o tysiącach istot, które cierpią podobnie jak pan. Tak panie, na tysiące je liczyć! I to na wszystkich stopniach społecznych. Z nory ludzkiej choroba przerzuca się na łóżko rodzinne, — częstokroć bez licznych pośredników. Więc uzdrowić ulicę, to tyle, co ustrzedz domowego ogniska. Tam środki zaradcze można przedsiębrać. Ale zaraz panu wykażę, że największym wrogiem naszym jest nieświadomość. Słyszysz pan: nieświadomość! Ludzie nie wiedzą! Ciągłe się to samo, jak w piosence powtarza: «Ludzie nie wiedzą!...» Tymczasem mamy chorych, których bylibyśmy mogli ocalić, gdyby byli przyszli na czas, a którzy przychodzą za późno, rozpaczliwie zapóźno, rozsiawszy zarazę koło siebie. Zobaczysz pan... (*Idzie ku drzwiom*). Nie wymagajcie od nas za wiele. Gdy sami się nie zgłoszą, nie mo-

zna przecież ich odszukiwać! (*do kobiety, znajdującej się za drzwiami*). Proszę wejść. (*do teścia*) Ma pan tu przykład dokładny... Ta kobieta jest poważnie chora... Powiedziałem jej to... kazałem jej przychodzić tu co tydzień... (*do owej kobiety*) Nieprawdaż?

ROBOTNICA. Tak, panie.

SCENA III.

LEKARZ, TEŚĆ, ROBOTNICA.

LEKARZ (*rozgniewany*). Kiedy pani była tu po raz ostatni?

ROBOTNICA. Trzy miesiące temu.

LEKARZ. Trzy miesiące! Jakto, więc pani myśli, że leczyć ją mogę w takich warunkach! Zrzekam się tego, słyszy mnie pani, — pani mi odbiera ochotę leczenia i odwagę!... Ostatecznie, dlaczego pani nie przyszła?... Czyż pani nie wie, że jest chora, ciężko chora?

ROBOTNICA. Owszem, owszem, panie, wiem to dobrze, przecież mój mąż na to umarł.

LEKARZ (*łagodniej*). Mąż pani umarł?

ROBOTNICA. Tak, panie.

LEKARZ. Nie leczył się?

ROBOTNICA. Nie, panie.

LEKARZ. Czyż to nie posłużyło pani za przykład?

ROBOTNICA. Przychodziłabym chętnie tak często, jak pan tylko każe. Ale to za drogo kosztuje.

LEKARZ. Jakto? Czemu za drogo?

TEŚĆ. Wszak porady są bezpłatne?

ROBOTNICA. Tak, panie. Ale godziny ich schodzą się z czasem pracy. Potem, — stąd do nas daleko. Chorych jest wielu, trzeba czekać, aż przyjdzie kolej... Czasem straci się na to przedpołudnie, ... czasem dzień cały... A stary złości się i grozi, że człeka wygna... Więc nie idzie się do lekarza, aż kiedy już koniecznie trzeba... A potem...

LEKARZ. Co?

ROBOTNICA. Nic, proszę pana, — pan i tak już jest za dobry.

LEKARZ. Owszem, niech pani mówi.

ROBOTNICA. Więc... Wiem, że nie powinnam udawać, że się brzydę... Ale ja nie zawsze byłam biedną... Zanim to nie-szczęście spadło na mego męża, byliśmy

samodzielni... Więc wówczas człowiek bywa trochę dumny... Zawsze żyłam z mojej pracy... Nie jestem ulicznicą... Więc tak czekać z wszystkimi razem... być zmuszoną do opowiadania głośno wszystkiego, przed wszystkimi, wszystkich nędz naszych... Nie mam słuszności, wiem... wyrzucam to sobie... ale mimo wszystko, ciężko to jest, zapewniam pana, że bardzo ciężko...

LEKARZ. Biedne kobiecisko... (*po chwili—bardzo łagodnie*) Czy to pani od męża dostała tej choroby?

ROBOTNICA. To, co się nam przytrafiło, od niego wyszło... Mieliliśmy własną firmę na prowincji... Zaraził się... Oszalał prawie... już nie umiał zarządzać swymi interesami... czynił zamówienia, na prawo i na lewo, na ogromne sumy... Nie można było zapłacić w terminie...

LEKARZ. Czemuż się nie leczy?

ROBOTNICA. Nie wiedział... Wówczas wszystko sprzedano, my zaś przenieśliśmy się do Paryża... Ale już nie posiadaliśmy ani grosza. Zdecydował się pójść do szpitala, ...poradzić się...

LEKARZ. No, i?

ROBOTNICA. Poradzono wprowadzić, ale lekarstwa mu odmówiono.

LEKARZ. Jakżeż to?

ROBOTNICA. Bo mieszkaliśmy w Paryżu dopiero od trzech miesięcy. Gdy się nie mieszka sześciu miesięcy, to nie ma się prawa do lekarstwa.

TEŚĆ. Czy to prawda?

LEKARZ. Tak. Tak brzmi przepis.

ROBOTNICA. Widzi pan, że to nie nasza wina.

LEKARZ. Czy pani nie ma dzieci?

ROBOTNICA. Nigdy nie udało mi się donosić brzemienności... Mój mąż zapadł na tę chorobę w początkach naszego małżeństwa... podczas dwudziestoosmiodniowych ćwiczeń wojskowych... Koło koszar wałęsają się kobiety...

(*Milczenie*).

LEKARZ. No, dobrze już... oto mój adres... Przyjdzie pani do mnie w niedzielę rano... (*odszedłszy do drzwi, wciska jej w rękę srebrną monetę. Potem szorstko*): Cóż to znowu, proszę to wziąć!... Proszę wobec mnie nie udawać dumnej, jeszcze czego?... Niech pani idzie!... Nie mam czasu jej słuchać... Pst, cicho!

(wypycha ją delikatnie. Potem mówi do niewidzialnej osoby): Proszę pana...

OJCIEC *(za drzwiami)*. Jestem ojcem młodego człowieka, którego pan widział dziś rano. Prosiłem pana o pozwolenie przyścia na chwilę rozmowy po konsultacji.

LEKARZ. Doskonale. Poznaję pana... Pański syn, to ten gimnazjasta?

OJCIEC *(już na progu)*. Tak panie.

LEKARZ. Proszę wejść. Może pan mówić przed tym panem.

SCENA IV.

LEKARZ, TEŚĆ, OJCIEC.

OJCIEC. Pan wie, że najcięższe nie-szczęście mnie spotyka... Mój syn ośm-nastoletni jest na wpół sparaliżowany... skutkiem złej choroby... Posiadamy niewielki sklepik... Czyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, by go umieścić w gimnazjum... I oto... Chciałbym, by to, co się nam zdarzyło, nie przytrafiło się innym... Właśnie, gdy wychodził z gimnazjum, został zaciągnięty przez jedną z tych kobiet, biedne dziecko moje...

Czyż to powinno być dozwolonem, by one uwodziły do rozpusty piętnastoletnie dzieci... Czyż nie starczyłoby policji, by temu przeszkodzić, gdyby chciano... Niech pan powie?

LEKARZ. Owszem.

OJCIEC. Więc czy tego nie chcą?

LEKARZ. Nie wiem...

OJCIEC. Oto mój syn... Lepiej by było, gdyby umarł... Taki piękny chłopak... i tak dobry, panie... i tak byliśmy z niego dumni...

LEKARZ. Niech pan nie rozpacza... Będziemy się starać wyleczyć go... (*ze smutkiem w głosie*) Ale czemuż mi go pan dopiero tak późno przyprowadził?

OJCIEC. Czyż ja wiedziałem, co mu było?... Nie śmiał mi powiedzieć, bał się, bym go nie łajał. Tymczasem choroba robiła postępy. Kiedy uczułem, że z nim źle się dzieje, poszedłem, w tajemnicy przedemną, do szalbierzy, którzy go okradli, ale którzy go nie leczyli... A znów to, czy to powinno być dozwolone? Czyż ci, którzy nami rządzą, są tak bardzo zajęci, że nie mają czasu do przeciw-

działania temu... Czyż to nie jest ważniejsze od wszystkiego innego...

LEKARZ. Ma pan słuszność. Usprawiedliwieniem ich jest tylko nieświadomość... Niech pan nabierze otuchy... Wyleczyliśmy chorych bardziej dotkniętych, niż syn pański... Co się zaś tyczy tamtych... może kiedyś pomyślą o nich... (*odprowadza ojca do drzwi; potem do teścia*): Widzi pan, prawdziwe lekarstwo zależy od zmiany obyczajów. Trzeba zaprzestać obchodzenia się z syfilisem, jak z jakąś tajemniczą chorobą, której nazwy nawet wymówić nie wolno... Nieświadomość, w której utrzymywana jest publiczność, nieświadomość istoty i skutków tej choroby przyczynia się do rozwielenia i rozpowszechnienia jej. Najczęściej dostają ją ludzie, ponieważ «nie wiedzą»; dopuszczają ją do rozwoju, w którym staje się niebezpieczną, z pominięciem odpowiednich lekarstw, ponieważ «nie wiedzą», i wreszcie udzielają jej drugim, ponieważ «nie wiedzą». Trzeba wiedzieć i trzeba pouczać młodzież o odpowiedzialności, którą bierze na swe

barki, oraz o nieszczęściach, które sobie gotują w latach chłopięcych.

TEŚĆ. Nie można przecież uczyć dzieci w naszych zakładach naukowych...

LEKARZ. A to dla czego?

TEŚĆ. Nierozsądkiem byłoby budzić w nich niektóre ciekawości...

LEKARZ (*unoszą się*). Czy pan myśli, że pan potrafi stłumić takie ciekawości w zarodku?... Odwołuję się do tych, którzy przeszli, tamci czy tamte, przez gimnazja lub pensje... Tych ciekawości nikt nie stłumi, one się zadowolnią same, jak potrafią, brzydkim i niskim sposobem... Niema nic niemoralnego w akcie, który za pomocą miłości uwiecznia życie... Ale my około tego aktu, wobec dzieci naszych, knujemy jakiś olbrzymi i srogi spisek milczenia. Poczciwy mieszczanin zaprowadzi wprawdzie syna i córkę do jednego z tych sławnych «tinglów», w których słucha się piosenek, od których małpy się czerwienią, ale nie dopuści, by wobec tych dzieci rozmawiano poważnie o tym akcie miłości, który, zda się poznać mają, jedynie przez bluźnierstwa i profanacje... Miary w tem niema

w istocie. Bo z jednej strony czynimy zeń rzecz, o której nie można mówić bez rumieńca, z drugiej zaś jest ona polem ćwiczeń dla dwuznaczników tinglowych i żartów dla żołnierzy gwardji. Pornografja jest dozwolona, nauka zakazana. To właśnie należałoby zmienić! Należy podnieść umysł młodzieńca, zdzierając z tych faktów całą blagę i całą tajemniczość. Należy w nim zbudzić ambicję wobec tej mocy twórczej, która nas bogom równymi czyni; należy mu dać pojąć, że on sam jest, że tak powiem świątynią, w której wypracowywuje się przyszłość rasy i pouczyć go, że powinien bez skazy oddać kiedyś dziedzictwo, które mu powierzono, dziedzictwo cenne, które łzy, nędze i cierpienia nieskończonego szeregu przodków z bólem zgromadziły.

TEŚĆ. Zgaduję, czegoby jeszcze i przede wszystkim było potrzeba. Trzeba wrócić aż do źródeł, trzeba dosięgnąć prostytucji i srożyć się przeciw tym nędznym kobietom, przeciw tym prawdziwym trucicielkom.

LEKARZ. Trucicielkom! Pan zapomina, że one naprzód *otrutemi* były! Przedsta-

wię tu panu jedną z nich. Ostrzegam pana jednak, że ona zupełnie książeńcych wyrażeń nie używa. Zresztą mniejsza o to. Aby ją nakłonić do mówienia przypoehlebię się jej manji. Chce zostać tancerką. (*wchodzi dziewczyna, około 20-lat, ładna, wesółta; wygląda bardzo zdrowo*).

SCENA V.

LEKARZ, TEŚĆ, DZIEWCZYNA.

LEKARZ. Dobrze się miewasz od rana? (*bez doczekania odpowiedzi*) Powiedz mi, chcesz ty ciągle jeszcze zostać tancerką?

DZIEWCZYNA. Koniecznie.

LEKARZ. No to dobrze. Pan jest przyjacielem dyrektora opery. Może cię polecić. Czyś zadowolona?...

DZIEWCZYNA. Owszem. Ale jeśli... będą się dowiadywać, to na djabła cała sprawa!

LEKARZ. Nie będą się dowiadywać... Tylko opowiesz temu panu, jakie są twoje upodobania, co chcesz czynić na przyszłość, co dotąd czyniłaś... słowem porozmawiaj z nim...

DZIEWCZYNA. Moi rodzice byli bardzo przyzwoitymi ludźmi. Oddali mnie na pensję.

LEKARZ (*przerywając*). Nie potrzebujesz opowiadać tej historii. Pan w nią nie uwierzy.

DZIEWCZYNA. Ah!... No dobrze, ale jeśli mu prawdę opowiem, to nie zechce polecić mnie swemu przyjacielowi.

LEKARZ. Ależ owszem, owszem; no, mów dalej... przybyłaś do Paryża...

DZIEWCZYNA. Tak...

LEKARZ. Pracowałaś jako służąca?

DZIEWCZYNA. A no tak, tak...

Lekarz. W jakim wieku byłaś wówczas?

DZIEWCZYNA. A no tak, miałam przeszło siedmnaście lat...

LEKARZ. A potem miałaś dziecko?

DZIEWCZYNA (*zdziwiona zapytaniem, uważa ten fakt bowiem za rzecz zupełnie naturalną*). A no, tak. W ośmnastym roku.

LEKARZ. Kto był ojcem dziecka?

DZIEWCZYNA (*tym samym tonem*). A no cóż, nasz stary...

LEKARZ. Mów że raz... no, opowiadaj

sama... Twoja pani wiedziała, że jesteś w ciąży. Cóż wtenczas się stało?...

DZIEWCZYNA (*tym samym tonem*). A no tak, — wylała mnie. Na jej miejscu byłabym zrobiła to samo.

LEKARZ. Nie zmuszaj mnie, abym ci tak słowo po słowie z ust wydzierał... Mówię ci, że masz opowiadać. No!... Pan mieszka na wsi i nie wie zupełnie, jak się to odbywa.

DZIEWCZYNA (*bardzo wesoło*). Także coś! Trzeba było mówić od początku... Więc było tak... Stary w nocy, bez pantofli przyszedł na górę do mojego pokoju... Powiada mi: jak krzykniesz, to za drzwi... wtenczas...

LEKARZ. Nie, nie,... zacznij tve dzieje od chwili, w której straciłaś miejsce.

DZIEWCZYNA. A no dobrze, jeśli pan myśli, że z tego ten pan będzie miał frajdę.

LEKARZ. Mów tylko. Opowiedz, co teraz porabiasz?

DZIEWCZYNA. Leczę się.

LEKARZ. Dobrze, ale poprzednio?

DZIEWCZYNA. Przedtem odprawiałam pięć godzin na bulwarze.

LEKARZ. W jaki sposób?... No, mów... pan jest z prowincji.

DZIEWCZYNA. A prawda... Nie mogę zrozumieć, że może być taki ktoś, któryby nie wiedział, jak to się robi... Także historia... Więc... udawałam szwaczkę — w sukience bardzo, bardzo prostej... świecidełka umyślnie do tego... zawiniątko w czarnej chustce... i idę tak wzdłuż sklepów... To jest bardzo męczące, bo żeby dobrze zarobić, trzeba iść prędko... Potem staję przed wystawą jakiegoś sklepu. Dziewięć razy na dziesięć mam rybę na haczyku... A największa frajda, to ci mężczyźni. Pomyślałby kto, że oni wszyscy się umówili, jak mają zaczepiać... Dwa zdania mają... nigdy inaczej. To jest albo: «Pani bardzo prędko idzie, proszę pani», albo «Czy pani się nie boi tak sama?»—Ale czy to, czy co innego to i tak każdy wie, o co chodzi, no nie? Albo też robię z siebie «młodą wdowę». Tu też trzeba iść prędko, to prawda; ale to się oplaca, nie rozumiem, dlaczego... Po minucie rozmowy ze mną przed sklepem i tak już dobrze wiedzą, że nie jestem «młodą wdową» no nie?... Ale to

nic, zrobiłam wrażenie, oni idą dalej mimo to... (*poważnie*) Są takie rzeczy, których sobie nie można wytłómaczyć...

LEKARZ. Cóż to za jedni, ci twoi klienci?... Drobni urzędnicy, komiwojażerzy?

DZIEWCZYNA. Patrzcie mi!... Ja mam tylko panów bardzo szykownych.

LEKARZ. Czy oni to twierdzą?

DZIEWCZYNA. Naprzód ja sama dobrze widzę. Mnóstwo jest takich, co mają ordery.. To nawet zabawne... Mają te ordery na sobie, kiedy ich spotykam... idą za mną... Krak! już nie ma orderów. To mnie intryguje... Patrzałam w lustrze, to zupełnie nie wyglądają na nic; ale nagle, gdy idą za kobietą, w mgnieniu oka wyskakuje taka wstążeczka za jednym pchnięciem palca, zupełnie, jak kiedy się groszek łuszczy, wie pan?...

LEKARZ. Tak, wiemy. Opowiedz nam teraz o twojem dziecku... Co się z niem stało.

DZIEWCZYNA. No i cóż, zostawiłam na ulicy Deufer.

LEKARZ (*do teścia*). U podrzutków...

TEŚĆ. Czy to pani jest obojętne?

DZIEWCZYNA. Chyba lepiej, niż brać je

ze sobą, by ze mną razem z głodu zdychało.

TEŚĆ. Ale to było własne dziecko pani.

DZIEWCZYNA. To było także własne dziecko swego ojca. Czy się nim zaopiekował, co?... znowu mi pan o tem każe gadać... To mnie nudzi... Ale, koniec końców, obaj panowie tu siedzicie, więc powiecie mnie, co ja miałam zrobić? Oddać je na mamki? Z pewnością byłabym to uczyniła, gdybym była wiedziała, że zarobię dość pieniędzy. Tymczasem chciałam znów pójść na służbę... Przecież nie mogłam płacić mamce za dziecko z owych 25 czy 30 franków, które zarobić mogłam na miesiąc, czy nie?... Skoro już chciałam zostać uczciwą, nie mogłam brać dziecka do siebie...

TEŚĆ. To jest przerażające!... (*Lekarz przerywa mu ruchem ręki*).

DZIEWCZYNA. Jest tak, jak panowie mówią... A zresztą, czy kto zna inny sposób?... A co? I żaden z panów nic mi na to odpowiedzieć nie może... (*znów zaczyna*) Więc pocóż tu żółć sobie psuć! Pan mi odpowie: «Nie byłaś uczciwą jednak!...» I to prawda... cóż... nie mogłam

wytrzymać na służbie... a potem... Jeśli się kobiecie jeść chce, a ładny chłopaczek prosi na obiad, trzeba chyba być z drzewa, by odmówić... I to jeszcze, żebym miała w ręku jakie rzemiosło... ale nic nie miałam... Ostatecznie doprowadziło mnie to do Saint-Lazare... To też znowu jest historia, której nie rozumiem... Wpakowali mnie tam, bo byłam chora... Ci mężczyźni wsadzą ci paskudne choróbko, a potem mnie za to kładą do ula... Tego trochę za wiele.

LEKARZ. Dobrze się zemściłaś... według tego coś mi opowiadała.

DZIEWCZYNA (*radośnie*). A no tak, odgryzłam się... (*do teścia*) Muszę to jednak panu opowiedzieć. Zanim mnie wpakowali do Saint-Lazare, właśnie w ten dzień, kiedy się dowiedziałam, że mnie capną, wracałam naturalnie wściekła przez bulwar Saint-Denis, i wiecie kogo spotkałam?... Mojego dawnego starego... Tego to już Bóg musiał chcieć... Mówię sobie: teraz jest chwila stosowna, by ci zapłacić mój pocziwczę, wszystko, coś mi winien, i to z procentami. Robię oko... Ah! wiecie nie dużo czasu po-

trzebowałam, ...wierzcie mi... (*tragicznie*)
A kiedy go opuściłam, niewiem jaka
złość, jaka wściekłość wlaźła mi w żyły.
Każdego brałam, który mnie chciał, za
każdą ofiarowaną mi cenę, bez zapłaty,
jeśli nie chcieli dać, tylu ich uwiodłam,
ilu tylko mogłam i... najmłodszych i naj-
piękniejszych... No i cóż?! Oddawałam
im tylko, co mnie dali!... Od tej chwi-
li do nikogo już żalu nie mam, i uważam
że wszystko jest arcy-zabawne... Inne
kobiety postępują tak jak ja... ale one nie
czynią tego przez zemstę, ale na to, by
mieć co jeść... Przecież jeść trzeba, na-
wet jeśli się jest chorym, czy nie prawda?..
(*milczenie*) A więc pan pomyśli o mnie,
na tę posadę tancerki, co? Niech pan po-
wie...

TEŚĆ. Obiecuję pani.

DZIEWCZYNA. Dziękuję panu (*wychodzi*).

SCENA OSTATNIA.

TEŚĆ, LEKRZ.

LEKARZ. Nie bez powodu zachowałem
panu aż na sam koniec spowiedź tej nie-
szczęśliwej. Zdaje mi się, że w niej

wszystko się streszcza. Ta ofiara, przemieniona w bicz klęski, jest symbolem Zła, stworzonego przez nas i na nas znów spadającego. Niczego już nie będę dodawał (*lekko i swobodnie*). Ale jeśli pan w Izbie posłów pomyśli trochę o tem, co pan tutaj widział, to czas ten nie będzie dla nas stracony.

(Zaślona).

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

Własność publiczna!
Uprasza się nie pisać i nie niszczyć

~~Biblioteka Uniwersytetu ludowego
im. A. Mickiewicza w Przemyślu.~~

~~L. [signature]~~

Własność publiczna!

Uprasza się nie pisć i nie niszczyć.

1857